

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor.—4 Mrk. 25 fen.—1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. —8 Mrk. 50 fen. 3 Rbs. 60 kop. z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop. z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop. W Ameryce: półrocznie 2 dolary 25 cts.— Rocznie 4 dol. 50 cts.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW, Zacisze 7. Tel. 479.

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VII. Kraków, 16 lipca 1910. Nr. 29.

1410—1910.



NUMER GRUNWALDZKI

Na święto grunwaldzkie.

Bogarodzica Dziewica
Bogiem sławiena Maryja,
U Twego Syna Gospodzina
Ziści nam — spust winam.

Z tą starożytną pieśnią nabożną na ustach szło przed pięciu wiekami rycerstwo Jagiełłowe na krwawy bój z odwiecznym wrogiem Polski. I dziś rozbrzmiewać ona będzie po wszystkich ziemiach polskich, będzie płynąć ku niebu z modłami o lepszą dolę, o lepszą przyszłość naszego narodu.



Rycerz krzyżacki.



Król Władysław Jagiełło.

Bo dziś święci cała Polska rocznicę wiekopomnego zwycięstwa, odniesionego na polach Grunwaldu nad Krzyżactwem. Wielkie to święto i wielka rocznica, więc godnie ją uczcić należy. Kraków, prastara stolica Jagiellonów, odświętne też przybrał szaty na ten dzień. W murach jego goszczą rodacy ze wszystkich ziem naszej Ojczyzny, są też bracia z za Oceanu. Przybyli dalej przedstawiciele bratnich narodów słowiańskich, aby wraz z nami uczcić wielkie nasze święto.

Więc otwartem sercem witamy ich wszystkich, jako drogich nam gości, jako najbliższych, najserdeczniejszych braci. Witamy tak samo Sokolstwo polskie, które zlotem swym uświetni uroczystość grunwaldzką i złoży przed światem całym świadectwo naszej żywotności, naszej tężyzny fizycznej.

* * *

Pięć wieków dzieli nas od chwili bitwy pod Grunwaldem. W ciągu tego okresu czasu zmienne koleje naród nasz przechodził. Byliśmy państwem potężnem, zamożnem, o wysokiej kulturze, mocarstwem jednem z najsilniejszych w Europie. Przyszły jednak potem czasy upadku i rozkładu wewnętrznego, aż utraciliśmy byt niezawisły.



Litwin w stroju bojowym.

Ale zawsze, czy w czasach świetności i rozkwitu, czy w czasach smutnego rozbicia, stał naród polski na gruncie idei prawa i sprawiedliwości. Społeczeństwu polskiemu zawsze była obca wszelka zaborczość.



Bitwa pod Grunwaldem. Według obrazu Jana Matejki.

Tak było i w czasach Grunwaldu. Toż w wielkiej owej bitwie starły się ze sobą nie tylko dwa państwa, nie tylko dwie armie, lecz dwa światy, dwie kultury, dwie idee polityczne i etyczne.

Po jednej stronie rycerstwo polskie, przedstawiciele narodu, osiadłego od wieków na ziemi ukochanej, narodu, który państwo potężne stworzył na własnej ziemi, nie pożądając cudzej, narodu, który o ile przygarniał pod swe rządy inne ludy, jak Litwę i Ruś, to sposobem unii, a nigdy podboju. A po stronie drugiej żywioł germański, Krzyżacy i rycerstwo niemieckie, wiecznie pożądliwem okiem spoglądające na ziemie słowiańskie i wszelkimi sposobami dążące do ich zagarnięcia. Starły się więc ze sobą: idea podboju germańskiego i słowiańskiej obrony własności, zasada gwałtu i idea prawa, myśl zaborcza i zasada sprawiedliwości.

Więc bitwa pod Grunwaldem miała wielkie znaczenie nie tylko militarne, ale przedewszystkiem moralne. Znaczenie tem większe, że szala zwycięstwa przechyliła się tym razem, po latach krzywd i gwałtów, po latach szarpania i wydzierania ziemi słowiańskiej, na stronę sprawiedliwości, na stronę słuszności.

Zwycięstwo rycerstwa Jagiełłowego nad Krzyżactwem w roku 1410 jest z jeszcze jednego powodu wielce doniosłe i wielce pouczające. Oto jak z Krzyżactwem walczyli rycerze niemieccy z rozmaitych prowincyi, tak obok Polaków stanęli do boju Litwini, a dalej Rusini, Czesi, Morawianie. A choć liczebnie posiłki ludów słowiańskich nie były wielkie, to przecież pierwszorzędnej wagi zjawiskiem był fakt, iż kilka ludów słowiańskich połączyło się ku wspólnej obronie jednej wielkiej idei, ku wspólnej obronie przed zaciekłym a wspólnym wrogiem. W ten sposób bitwa pod Grunwaldem stała się nie tylko porachunkiem między Polską a Zakonem krzyżackim, ale porachunkiem całego świata słowiańskiego ze światem niemieckim o krzywdy całych wieków.

A choć zwycięstwa pod Grunwaldem nie wyzyskali Polacy należycie, to przecież uratowało ono państwowość polską i stworzyło wał ochronny dla całej Słowiańszczyzny. Uratowało przedewszystkiem narodowość i kulturę polską. I kiedy z czasem, po wiekach całych, polityczne owoce zwycięstwa grunwaldzkiego zostały zniszczone, kiedy część Polski dostała się pod władztwo germańskie, owoce, jakie ono przyniosło idei narodowej polskiej, polskiej cywilizacyi i kulturze, nie były już wtedy do zniszczenia. W ciągu wieków tak zmężniały i spotężniały, że nie zdołał ich zniszczyć ani upadek polityczny, ani żadne zamachy wrogów. I nie zniszczą w przyszłości.

Ale musimy, tak jak rycerstwo Jagiełły, bronić z poświęceniem tego, co nasze, tego, cośmy wiekową pracą na wszystkich polach zdobyli, nie pożądając nigdy cudzego. I to się dzieje. A niesłusznie zarzucają nam Rusini, że chcemy ich dziedzin, ich ziemi, ich praw. My tylko bronimy naszej własności, stoimy na straży polskiej, własnej kultury, my tylko chcemy utrzymać w posiadaniu nasz polski uniwersytet, który oni chcą nam odebrać siłą i gwałtem.

Niechżeż rocznica grunwaldzka przyniesie im opamiętanie, niech zrozumieją, że tą drogą nic zajdą daleko. Potrafiliśmy stawić czoło zastępom rycerstwa krzyżackiego, więc i przeciw napadom ruskiej młodzieży obronić się zdołamy. Bo po stronie naszej jest prawo i sprawiedliwość, te idee, które dodają sił do walki i prowadzą do zwycięstwa.

Bośmy oparci o wspomnienie Grunwaldu, o tę naszą silną, niewzruszalną, nieśmiertelną opokę polskości. W niej nasza broń, nasza siła, w niej nadzieja tryumfów.



Sarkofag królowej Jadwigi w katedrze na Wawelu



Królowa Jadwiga, w stroju koronacyjnym.



Sarkofag Władysława Jagiełły w katedrze na Wawelu.

Niechajże obchód grunwaldzki będzie dla społeczeństwa polskiego bodźcem i zachętą do pracy nad podniesieniem własnem, a obcym niech zaświadczy, że naród polski mimo wiekowej niewoli nie upadł, niech zaświadczy, że

jeszcze nie zginęła!



Pektorał W. Mistrza, znaleziony na polu bitwy (strona zewnętrzna).

Powstanie Zakonu krzyżackiego.

W czasie wypraw krzyżowych powstawały w Europie zakony rycerskie, mające za zadanie walkę z niewiernymi i wydarcie z ich rąk Ziemi św. Jednym z nich był Zakon Niemiecki, którego członków od czarnego krzyża, umieszczonego na białym płaszczu, nazwano w Polsce Krzyżakami.

Założony w r. 1190 podczas oblężenia Ptolemaidy, miał zakon podwójne zadanie: opiekować się chorymi i bronić mieczem Ziemi świętej przeciw Turkom. Ptolemaida była pierwszą siedzibą braci szpitalu niemieckiego. Mogli być nimi tylko rodowici Niemcy pochodzenia szlacheckiego, a dzielili się na dwie klasy: braci wyświęconych czyli kapłanów i braci rycerskich czyli laików, z pośród których wybierano wielkiego mistrza, nieograniczonego pana całego Zakonu.

Po zdobyciu Palestyny przez Turków, przenieśli się bracia do Europy, a wielki mistrz osiadł w Wenecyi, kierując stamtąd sprawami Zakonu, posiadającego już wówczas ogromne dobra w całej Europie i cieszącego się protekcyą papieży i cesarzy niemieckich. W r. 1211 sprowadził ich na Węgry król Andrzej II. w celu obrony granic przed dzikimi Kumanami, lecz już w r. 1225, poznawszy ich przewrotną politykę i obawiając się rosnącej potęgi Zakonu, odebrał im nadane dzierżawy, a braci z kraju wypędził.

W tym właśnie czasie wszedł w układy z Krzyżakami Konrad książe Mazowiecki, który potrzebował ich pomocy przeciw pogańskim Prusakom. Krzyżacy usłuchali chętnie wezwania, zgadzali się pozornie na postawione przez Konrada warunki, ale równocześnie postarali się u cesarza Fryderyka II., roszczącego sobie prawo supremacyi nad wszystkimi książętami świata, o przywilej, nadający Zakonowi na wieczystą i niepodległą własność, tak ziemie przyobiecane przez Konrada, jakoteż te, które zdobędą na Prusakach. Pierwszy więc krok Krzyżaków cechowała już zdrada.

Pierwsze zastępy braci zakonnych przybyły nad Wisłę w r. 1229 i zajęły Orłów. W następnym roku nadciąga Herman Balke z wielkiemi siłami, osiada w ziemi chełmińskiej i rozpoczyna systematyczną walkę z Prusakami. Zdobywano ich ziemie piędź po piędzi, zabezpieczano je przez budowanie zamków a nieszczęśliwych Prusaków nawracano na chrystyanizm środkami wcale niechrześcijańskimi. Potęga krzyżacka rosła z dnia na dzień, z nią zaś równomiernie i rozpasanie świeckie. Kilkrotnie wybuchały powstania ciemiężonych Prusaków. Krzyżacy wychodzili z nich zawsze zwycięsko; Polacy w czasie tych zapasów stali po stronie Zakonu i we własnych granicach dali wyróść tak szkodliwej dla siebie potędze.

Równocześnie zwrócili Krzyżacy swe oko na sąsiednią pogańską Litwę, na którą napadli po raz pierwszy w r. 1251. Po zupełnem ujarzmieniu Prusaków prowadzi Zakon systematyczną walkę z Litwą, obracając swój oręż także i przeciw własnej protektorce, Polsce. Za czasów Łokietka wydarto Polsce Pomorze, Dobrzyń i Kujawy, które zatrzymano pomimo dotkliwej klęski pod Płowcami (1331).

W r. 1309 przenosi wielki mistrz swą stolicę z Wenecyi do Malborga na Pomorze, uważając Litwę za swą najbliższą zdobycz i gotując powoli ten sam los Polsce. Toczą się więc ciągle wojny, a Zakon rośnie w coraz straszniejszą dla obu sąsiadek potęgę. Kazimierz Wielki odzyskuje wprawdzie Kujawy i Dobrzyń, Pomorze pozostaje łupem nienasyconej nigdy potęgi, która pod płaszczykiem nawracania na wiarę chrześcijańską, germanizuje systematycznie ziemie rdzennie słowiańskie.

Charakter swój duchowny wyzyskują też Krzyżacy w Europie bardzo zręcznie a obłudnie dla chciwej i niesumiennej polityki świeckiej. Pogańską Litwę uważali za podwalinę swego bytu i wojowali tak, aby jej nigdy nie zawojować, nie myśleli bowiem o jej nawróceniu, lecz utrzymaniu ciągłej wojny, z powodu której chełpili się zasługami rycerskiemi dla chrześcijaństwa i tym urokiem wabili do siebie rycerstwo całej Europy.

Słusznie więc znakomity polski uczony prof. dr. Balzer nazwał zakon krzyżowy jednem z najosobliwszych a zarazem najmarniejszych zjawisk w historyi ludzkości, opartem na obłudzie i fałszu, na zasadniczej sprzeczności między teoretycznem zadaniem a praktycznym czynem. Ten Zakon, który w ślubach wyrzekał się celów świeckich, a faktycznie całą swą usilność skierował do utwierdzenia władzy świeckiej, który miał zwalczać pogan, aby ich nawrócić, a zwalczał ich celem rozszerzenia swych posiadłości, podjął wątek dawniejszej walki Niemczyzny przeciw światu słowiańskiemu, skierowując ją przeciw najbliższej z kolei Polsce.



Stopa królowej Jadwigi na murze kościoła OO. Karmelitów w Krakowie.

To też z chwilą, gdy Jagiełło w r. 1386 wstąpił na tron polski i zespolił interesy obu Polski i Litwy czem zadał dotkliwy cios obłudnej polityce Zakonu, musiało przyjść do konfliktu, a była nim właśnie owa **wielka wojna**, którą stoczono na polach Grunwaldu i Tannenberga.



Pektorał W. Mistrza (strona wewnętrzna).

Maurice Leblanc.

TAJEMNICZE DOKUMENTY.

10 (Ciąg dalszy).

Nie było odpowiedzi.

— A tak bliską była już poznania prawdy! Ten twój przeklęty Juliusz mógł był równie dobrze nazwać mnie po nazwisku, zamiast mówić o mnie „ta stara“, a Herminia Caze byłaby to powtórzyła. Ach, jak ja cierpiałam!... Nie, zrozumżeż, byłabym umarła ze wstydu... Ja, zdradzać ją!... Ach, gdybyś ją znał, to moje biedne, kochane dziecko...

Rozrzewniała się teraz, słaba, zgnębiona i składając ręce przed Serninem, mówiła:

— Proszę ciebie, nie mieszaj też nas we wszystkie te twoje sprawy... Takie byłyśmy szczęśliwe! Myślałam, że już o nas zapomniałeś i dziękowałam Bogu za każdy dzień upłyniony. Ależ tak, ja ciebie zawsze bardzo kocham, pomimo wszystko... Ale widzisz, Genowefa... nie wiem, czegobym ja nie zrobiła dla tego dziecka! Ona w mojem sercu zajęła twoje miejsce!

— W takim razie, Wiktoryo...

— Nie nazywaj mnie tak! — zawołała, zadrżawszy — Wiktorya nie żyje... stara twoja służąca już nie istnieje. Teraz ja należę do Genowefy.

— W takim razie, pani Ernemont — dlaczego usłuchałaś mnie jeszcze przedwczoraj, gdym przed tobą rozwijał plan porwania, a potem ratunku i tłómaczył ci, jaką masz rolę odegrać wobec Varnier'a, Hipolita i Juliusza?

— Ejże! Wiesz przecież, że uległam jedynie zniewolona przez ciebie.

— Ale uległaś i uprzedziłaś Varnier'a, że Genowefa o pięć minut przed szóstą będzie nad stawem, ona i pani Kesselbach. Dlaczegożeś to zrobiła?

Staruszka spuściła głowę i twarz ukryła w dłoniach.

— Ach tak, dlaczegoż ja to zrobiłam? Dlaczego zawsze robiłam to, czego ty odemnie chciałeś? Wszystkie te brzydactwa, wszystkie niegodne rzeczy, których odemnie żądałeś? Brzydzę się tem, a pomimo to spełniam... nierozsądna... dlatego poprostu, że to ty jesteś, a że ja jestem stworzona, ja się urodziłam poto jedynie, by tobie być powolną...

Pochylił się nad nią i ucałował ją.

— Moja ty poczciwa staruszko!

— Tak, teraz pieszczoty... cukierki!... Ach! biedna matka twoja mówiła mi to niegdyś jeszcze, wtedy, gdym ciebie karmiła: „Tego będna ty zanadto kochasz. Teraz dajesz mu swój pokarm, a później on krwi twojej zażąda, a ty mu ją dasz...“

— Czy prawdę mówiła, Wiktosiu?

Westchnęła smutno.

— Ach, mój maleńki, ja ci dałam więcej jeszcze! Ja ci moje sumienie oddałam!

Zamilkli oboje; po chwili ona zadała pytanie.

— A więc ty rozpoczynasz dawne twoje życie?

— Jak widzisz.

— A jednak przysiągłeś mi, że z tem już koniec, że chcesz być odtąd uczciwym człowiekiem...

— Próbowałem. Od lat czterech próbuję... Nie powiesz przecież, że przez te cztery lata słyszałaś co złego o mnie?

— No więc?

— Ale mnie to nudzi.

Westchnęła, usłyszawszy taką odpowiedź.

— Wmieszałeś się w sprawę Kesselbacha?

— Gdyby nie, czyżbym sobie był zadał trud porywania pani Kesselbach o szóstej, po to jedynie, by o szóstej minut dwadzieścia pięć wyrywać ją ze szpon moich ludzi? Uratowana przezemnie, musi mnie teraz przyjmować. Byłem u niej przed chwilą. Jestem w samem centrum obozu i osłaniając wdowę, mam nadzór nad otoczeniem. Ach, cóż chcesz! to życie, które prowadzę, nie pozwala mi na spokój i na wygódki — muszę działać za pomocą efektów teatralnych i brutalnych zwycięstw...

— Jezus Marya! — westchnęła. Ostatecznie co do tego, róbżeż sobie, co ci się podoba. Ale Genowefa...

— Widzisz — ja w ten sposób ubiłem dwie sarny za jednym zamachem. Pomyśl, ile jabym potrzebował czasu, wysiłków, może daremnych, by wślizgnąć się w zaufanie tego dziewczątka! Czem ja byłem dla niej? Nieznajomym... obcym człowiekiem. Teraz jestem zbawcą. Za jaką godzinkę stanę się jej przyjacielem.

Potrząsnęła głową.

— Czy ty myślisz, że potrzeba tylu przygotowań i tylu wybiegów, ażeby stać się jej przyjacielem? Gdybyś ją znał, zawstydziłbyś się tego, coś zrobił. Porywanie! Ratowanie! Takie zawiłe sztuki dla pozyskania serca, które się tak chętnie daje!

— Czy tak pewna tego jesteś?

— Jestem pewna, że wystarczało przyjść do niej otwarcie i powiedzieć jej poprostu to, co jej masz do powiedzenia.

— To, co jej mam do powiedzenia, wymaga więcej ostrożności. To tajemnica bardzo ważna i bardzo wzruszająca.

— Której ja nie znam?

— Której ty nie znasz...

Staruszka przestraszyła się.

— A która ją może zmartwi? Ach, ja się lękam wszystkiego... wszystkiego się dla niej lękam!...

— Otóż i ona! — rzekł.

— Nie, to zawcześnie.

— A jednak... słychać jakiś ruch... Zdawałoby się, że to w ogrodzie...

— To niepodobna! Któżby mógł chodzić po ogrodzie o tej godzinie? Nie, to zapewne drzwi od sypialni zamknięto. Genowefa przyjdzie za chwilę.

— No, to obetrzyjżeż oczy i bądź rozsądna?

— Słuchaj — przemówiła żywo — słuchaj... ja nie wiem, jakiemi słowy przemówisz, jaką tajemnicę chcesz odsłonić temu dziewczęciu, którego nie znasz... ale ja ją znam dobrze, i tyle ci powiem: Genowefa jest to natura dzielna, silna, ale bardzo uczuciowa i wrażliwa. Uważaj więc, co mówisz... mógłbyś w niej obrazić uczucia... których nie potrafisz odgadnąć...

— Ale dlaczegoż, mój Boże!

— Ponieważ jest ona z innej rasy, niż ty jesteś i z innego świata... rozumiem przez to inny świat moralny... Są rzeczy, których tobie nie wolno teraz rozumieć. Pomiędzy tobą a nią jest nieprzebyta przeszkoda. Genowefa ma sumienie najczystsze i najdrażliwsze. A ty...

— A ja...

— A ty — ty nie jesteś uczciwym człowiekiem.

Genowefa weszła ożywiona, urocza.

— Wszystkie moje małe już są w sypialni; mam dziesięć minut odpoczynku. A! dobry wieczór — zwróciła się do księcia, którego dopiero spostrzegła — cieszę się, że pana widzę. Ale cóż to, babuniu, co się tobie stało? Wyglądasz taka wzruszona! Czy to z powodu historyi z tym nieszczęsnym listem?

— Nie, pani — odpowiedział Sernin — zdaje mi się, że mi się udało uspokoić babkę pani. Ale rozmawialiśmy o pani, o jej dzieciństwie, a to jest przedmiot, zdaje się, którego babka pani nie dotyka bez wzruszenia.

— O mojem dzieciństwie? — Genowefa zarumieniła się. — O, babuniu!

— Niech pani się na nią nie gniewa, to przypadek rozmowę naszą sprowadził na te tory. Ja bowiem, jak się pokazuje, nieraz bywałem w tej małej wiosce, w której się pani chowała.

— W Aspremont?

— Tak, w Aspremont pod Nizzą. Pani mieszkała tam w nowym, białym domku.

— Tak — potwierdziła — w takim bieluteńkim, z niebieskiemi obwódkami dokoła okien... Bardzo mała byłam wtedy, gdyż miałam siedm lat, gdy opuściłam Aspremont. Ale przypominam sobie z owych czasów najdrobniejsze rzeczy. Nie zapomniałam ani blasku słońca na bielonej fasadzie domku, ani cienia eukaliptusów w głębi ogródka.

— Na końcu ogrodu pani był tam gaik drzew oliwnych, a pod jednem z tych drzew stał stół, przy którym matka pani w dni upalne siadywała z robotą...

— To prawda... prawda... — wzruszona bardzo, podjęła. — A ja... ja bawiłam się tuż obok...

— I tam to — rzekł — widywałem matkę pani niekiedy... Odrazu, ujrzawszy panią, odnalazłem jej wizerunek... tylko weselszy... szczęśliwszy...

— Istotnie, biedna moja matka nie była szczęśliwą. Ojciec mój umarł w sam dzień mego urodzenia, a jej nic już pocieszyć nie mogło. Często płakała. Zachowałam z tamtych czasów chusteczkę, którą jej łzy ocierałam.

— Małą chusteczkę w różowy deseń.

— Jakto? — zdziwiła się bardzo. — A skąd pan to wie?

— Byłem raz przy tem, jak ją pani pocieszała... a pani ją tak miluchno pocieszała, że ta scena została mi żywo w pamięci.

Przypatrzyła mu się głębokiem spojrzeniem i szepnęła prawie do samej siebie:

— Tak... tak... istotnie zdaje mi się... wyraz pańskich oczu... i dźwięk głosu także...

Przymknęła na chwilę powieki i skupiła się w sobie, jak gdyby napróżno usiłowała przywołać wspomnienie, które jej się wymykało.

— Więc pan ją znał? — zagadnęła znowu.

— Miałem przyjaciół w sąsiedztwie Aspremont i u tych ją spotykałem. Za ostatniem widzeniem wydała mi się smutniejszą jeszcze... i jeszcze bledszą. A gdy powróciłem...

— Już było po wszystkiem, prawda?... Tak, ona tak prędko zagasła... w kilka tygodni, a ja zostałam na opiece sąsiadów, którzy ją pielęgnowali... i pewnego ranka wyniesiono ją... Wieczorem tego samego dnia, gdy ja już spałam w mojem dziecinnem łóżeczku, przyszedł ktoś i wziął mnie na ręce i otulił mnie kołdrami...

— Mężczyzna jaki? — zapytał książę.

— Tak, mężczyzna. Mówił do mnie cichutko i bardzo łagodnie... miły był jego głos. Wynosząc mnie na ulicę i potem w powozie, kołysał mnie na rękach i opowiadał mi historyjki... tym swoim głosem... tym swoim głosem...

Przerywała potrosze i znowu wpatrywała się w niego jeszcze przenikliwiej, z widocznym wysiłkiem uchwycenia przelotnego wrażenia, któremu podlegała chwilami.

— I co potem? — zapytał książę. Dokąd on panią zawiózł?

— Tu pamięć moja nie dopisuje... mam wrażenie, jak gdybym była spała przez kilka dni... Widzę się dopiero w tej małej osadzie w Wandei, gdzie przepędziłam drugą połowę mojego dzieciństwa, w Montégut... u małżeństwa Izeran; poczciwi to byli ludziska, którzy mnie karmili, wychowywali i których przywiązania i dobroci nie zapomnę nigdy.

— Czy i oni także poumierali?

— Tak — epidemia tyfusu panowała w okolicy... ale ja się o tem później dopiero dowiedziałam. Zaraz w początku choroby znowu ktoś mnie wyniósł nocą, tak, jak pierwej i także — pamiętam — nakrywał mnie i otulał. Tylko, że wtedy dużą dziewczynką już byłam... broniłam się, wyrywałam, chciałam krzyczeć... tak, że mi zatkał usta fularową chustką.

— Ile lat miała pani?

— Czternaście... to było cztery lata temu.

— A więc mogła pani rozpoznać tego mężczyznę?

— Nie, gdyż tamten lepiej się ukrywał i nie przemówił do mnie ani słowa... Jednakże ja zawsze myślałam, że to był ten sam... gdyż zapamiętałam, że tak samo był troskliwy, uważny, delikatny...

— Cóż było dalej?

— I wtedy, tak jak za pierwszym razem, przyszło najpierw zapomnienie... sen. Tym razem chorowałam, zdaje się, musiałam mieć gorączkę. I oto przebudziłam się w pokoju jasnym, wesołym. Jakaś siwowłosa pani pochylała się nademną i uśmiechała się do mnie. Była to babunia... a pokój — to ten pokoik, który zajmuję na górze.

Twarz jej rozpromieniła się zwykłym u niej pogodnym, świetlanym wyrazem i dokończyła z uśmiechem:

— I oto tak pani Ernemont znalazła mnie podobno pewnego wieczora uśpioną przed swoim progiem, tak mnie wzięła do siebie, została mą babunią i tak po pewnych doświadczeniach losu, małe dziewczątko z Aspremont pędzi teraz życie spokojne i uczy rachunków i gramatyki małe dziewczynki uparte albo leniwe, ale które ją bardzo kochają!

Mówiła to wesoło i czuło się w niej zgodną równowagę rozsądku i uczucia.

Sernin słuchał jej z wrastającem zdziwieniem i nie starając się ukrywać zmieszania, zapytał:

— I pani nigdy odtąd nie słyszała o tym człowieku?

— Nigdy!

— A czy chciałaby go pani zobaczyć?

— O, radabym bardzo! Babunia starała się go odnaleźć, ale jej się nie udało.

— A więc, pani...

Genowefa zadrżała.

— Pan coś wie!... Może pan zna całą prawdę...

— Nie... nie... ja tylko...

Wstał i przeszedł się po pokoju. Od czasu do czasu wzrok jego zatrzymywał się na Genowefie i zdawało się, że gotów jest jaśniej odpowiedzieć na stawione mu pytanie. Lecz czy przemówi?

Pani Ernemont z trwogą czekała wyjaśnienia tajemnicy, od której mógł zależeć spokój dziewczęcia.

Sernin powrócił i usiadł przy Genowefie... Zdawał się jeszcze wahać — wreszcie odezwał się do niej:

— Nie... nie... przed chwilą pewna myśl przyszła mi do głowy... pewne wspomnienie...

— Wspomnienie... a więc?

— Omyliłem się. W opowiadaniu pani były pewne szczegóły, które mnie wprowadziły w błąd.
— Czy się pan nie myli?
— Jestem zupełnie pewien.
— Ach! — westchnęła zawiedziona. — A ja już myślałam, że pan może zna...
Nie dopowiedziała, nie śmiejąc dokończyć swej myśli.
Sernin milczał. Wtedy ona, nie nalegając dłużej, pochyliła się ku pani Ernemont.
— Dobranoc, babuniu, moje małe muszą już być w łóżeczkach, ale żadna z nich nie zaśnie, dopóki jej nie pocałuję.
Podała rękę księciu.
— Jeszcze raz panu dziękuję!...
— Odchodzi pani? — rzekł z żywością.
— Niech pan daruje, muszę; babunia pana wyprowadzi.
Skłonił się przed nią i ucałował jej rękę. Otwierając już drzwi, obejrzała się jeszcze i uśmiechnęła.
Książę słuchał odgłosu jej oddalających się kroków i nie poruszył się, blady, wzruszony...
— Nie powiedziałeś więc! — odezwała się staruszka.
— Nie powiedziałem.
— Ta tajemnica...
— Później... dzisiaj, to dziwne, ale nie mogłem...
— Czyż to tak trudno było? Czy ona tego nie czuła, że to ty ten nieznajomy, który ją dwa razy unosił?... Dość było jednego słowa...
— Później... później — odrzekł, opanowując się. Rozumiesz... to dziewczę zna mnie tak mało... Muszę mieć prawo do jej zaufania i uczuć... Gdy jej zapewnię los, na jaki zasługuje, los cudowny, jak z bajki, wtedy przemówię.
Staruszka pokiwała głową.
— Obawiam się, że jesteś w błędzie. Genowefa nie potrzebuje nadzwyczajnego losu. Jej upodobania są skromne.
— Ma takie upodobania, jak wszystkie kobiety, a bogactwo, zbytek, potęga, to daje uciechy, któremi nie pogardzi żadna.
— Z wyjątkiem Genowefy. I lepiejbyś zrobił...
— Zobaczymy. Na razie pozwól mi. I bądź spokojna, bynajmniej nie mam zamiaru, jak ty się wyrażasz, mieszać Genowefy do wszystkich moich machinacyi. Ona mnie zaledwie zrzadka zobaczy... Ale cóż, trzeba było koniecznie wejść z nią w styczność i...
Przerwał i szepnął niespokojnie:
— Słyszysz?
— Co takiego?
— Jakieś odgłosy...
— W domu?
— Słuchaj... nie, to w ogrodzie...
— To liście szumią.
— Jak je wyraźnie słychać! — A przecież okno zamknięte. I okiennice również...
— Tak, ale jedną z szyb wybił wczoraj ten kamyczek i wyjęto ją tymczasem...
— I tyś mnie nie przestrzegła?
Pobiegł do okna. W tej chwili stłumiony okrzyk rozległ się za oknami, wślad za tem jęki...
Szybkim ruchem otworzył okno na rozcierz.
W dali, w cieniu, niknęła sylwetka ludzkiej postaci.
— Widzisz, tam daleko... Obejdź naokoło i przyjdź do mnie!
Wyszedł na balkon i nie tracąc z oczu miejsca, gdzie widział znikającą postać, wyskoczył.
Na ziemi, na grządce, ujrzał coś poruszającego się i zaraz też posłyszał stłumione jęki czyjeś.
Nachylił się. Na ziemi leżał człowiek.
— Jesteś raniony? — zapytał żywo.
— Tak... niechaj go... brzydko mnie urządził.
— Jakto? to ty, Julek?... A któż ciebie zranił?
Tamten nie dał odpowiedzi, widocznie zemdlał.
Tymczasem nadeszła pani Ernemont z latarką.
— To Juliusz — rzekł książę — zraniono go... Pomóż mi, przeniesiemy go... A gdzie Genowefa?
— O, jej pokój i sypialnia dzieci wychodzą na drugą stronę... najpewniej ona niczego nie słyszała.
— Do kroćset! — rzucił się Sernin — a co to tam jest? Poświeć no latarką!
Usłuchała. Ujrzeli drabinkę, opartą o mur domu, a której koniec sięgał okna o zamkniętych okiennicach.
— To okno saloniku, nieprawdaż? — zapytał Sernin.
— Tak.
— I brak jednej szyby. Phi! to zaczyna być poważne... Spieszmy się!
Przenieśli Julka do saloniku i złożyli go na kanapie.
Młodzieniec krwawił obficie z rany, którą miał na szyi.
Książę rzucił rozkaz:
— Idź, przynieś mi wody... i waty!
Nachylił się i chcąc lepiej opatrzyć ranę, odpiął ubranie i koszulę. Nagle krzyknął ze strachem i wstrętem.
— Co to? — zapytała staruszka.
— Nóż... przypatrz się... ten sztylet, który znajduję w ranie...
— Nie rozumiem?
— Otóż to taki sam... to nóż podobny do tego, jakim zabito trzy ofiary w Palace-Hotel.



Spostrzegłszy jednak powróz nad głową, opadł znów na krzesło.

— O sprawie Kesselbacha mówisz?
— Tak.

II.

Na szczęście nie było obrażenia żadnego z głównych naczyń krwionośnych. W dwadzieścia minut później Juliusz przy usilnych staraniach księcia, wrócił do przytomności.
— Idź aż do głównego gościńca — zwrócił się Sernin do pani Ernemont. Zastaniesz tam automobil i powiesz Oktawiuszowi, niech go podprowadzi jak najbliżej baryery, byle jak najciszej. W razie potrzeby niech zagasi motor i popycha koła.
Gdy pani Ernemont wyszła, książę zaczął badać rannego.
— Czy nie bardzo czujesz się słaby?
— Nie, już mi lepiej.
— Możesz mi odpowiadać?
— Mogę.
— Skąd się ty tu wziąłeś?
— Zły byłem na siebie za głupstwo, które popełniłem, mówiąc przy siostrze. Zacząłem więc pana szukać... chciałem pana widzieć... wytłómaczyć się przed panem.
— No i co?
— Szedłem polami... bramę zastałem otwartą... wszedłem... i zdawało mi się, że widzę kogoś, skradającego się w ogrodzie... Potem straciłem go z oczu i dopiero później, obszedłszy, zobaczyłem go znów przy jakimś budynku.
— Przy szopie?
— Zapewne. Wychodził stamtąd i niósł drabinkę. Przynajmniej zobaczyłem, że to drabinka, gdy ją oparł o dom.
— Trzeba było przyjść tutaj, zawołać mnie...
— Czy ja mogłem wiedzieć, że pan tu jest, w domu? A gdyby on tymczasem czmychnął?... To też wsunąłem się pomiędzy drzewa... Miałem swój plan... podejść pod drabinkę i przewrócić ją. Myślałem: „jeżeli wódz jest tam, wyskoczy oknem i złapiemy ciekawskiego“.
— No i cóż dalej?
— Otóż to! sucha gałęź zatrzeszczała mi pod nogą. Zaraz też on spuścił się ze swej drabinki... Pobiegłem... Ale on miał się na baczności; chwyciliśmy się za bary i prawie też natychmiast, poczułem ból tu...
— Czy nie mógłbyś go rozpoznać?
— Nie... to taki mały, co to raczej cienki... i wcale nie mocny... zgiąłem go odrazu... Gdyby nie ten nóż...
— A jak ubrany?
— To wyglądało czarne... a materyał w dotknięciu, jak gdyby sukno... no, nie robotnik... jakiś pan.
— Jak ci się zdaje, jak długo mógł być na wierzchu drabinki?
— Ze trzy minuty, nie dłużej.
— Nie ruszaj się — zwrócił się książę do powracającej pani Ernemont — i mów po cichu do Juliusza, tak, jak my rozmawialiśmy przy koniu... pamiętasz? Ja siedziałem tam, na tej samej kanapie... a ty klęczałaś, mówiąc mi prawie do ucha...
Wyszedł, obszedł dom, wszedł na drabinkę i rozsunąwszy okiennicę, zaczął nasłuchiwać.
Po chwili wrócił do pani Ernemont.
— Słychać szmer głosów, ale słów nie słychać. Pod tym względem jestem spokojny. Tylko, że...
— Że co?
— Że jestem wykryty... szpiegują mnie.
— Niepokoi cię to?
— O, i bardzo... są rzeczy, których nie ogarniam.
— Czy pewien jesteś, że pan Lenormand niczego się nie domyśla?
Wzruszył ramionami.
— Lenormand? Tyle on dla mnie, co słomiany straszak. Z godziny na godzinę, rozumiesz, wiem co on tam knuje w prefekturze, wiem wszystko, co mówi, wszystko co myśli nawet. Z chwilą, gdy Lenormand zacznie mi przeszkadzać, rozbiję go, jak szkło.
— Więc cóż?
— Więc to tamten mnie przeraża, ten potwór, który potrzykroć zabił w Palace-Hotel, a teraz ugodził jednego z moich. Ten to, widzisz, groźny jest i piekielny.
— I ty go się boisz, ty?
— Boję się go. Strzeż dobrze Genowefy. Ja z mej strony ustawię straż nad tym domem. W razie najmniejszej obawy, dawaj mi znać.
Z pomocą Oktawa Sernin przeniósł rannego do automobilu i zawiózł go do Paryża, gdzie go w jednem ze swoich licznych mieszkań umieścił.
— A teraz do Neuilly, Oktawie, odszukamy doktora. Która godzina?
— Wpół do jedenastej.
— Phi! już! Popędzaj!
W dziesięć minut później automobil zatrzymywał się na końcu bulwaru Inkermann przed odosobnioną willą. Słysząc trąbkę wyszedł ten, którego dnia poprzedniego w swoim pokoju w hotelu Sernin nazywał doktorem. Książę rzucił mu pytanie:
— Czy otrzymałeś moje polecenie?
— Tak jest.
— Wszystko gotowe?
— Wszystko urządziłem jak należy. Policya nie zmiarkuje niczego.
— To dobrze. Zabierajmy się tedy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wielka wojna.

Rozrastające się i wzmagające wpływy zakonu krzyżackiego, jego niesłychana zachłanność, grożąca coraz bardziej żywiołowi polskiemu i całej Słowiańszczyźnie, musiały doprowadzić do ostatecznej rozprawy między Polską a Krzyżactwem, którąby rozstrzygnęła o losach tych dwóch prądów, dwóch kultur, dwóch światów.

bitwa pod Grunwaldem,

stoczona 15 lipca 1410 r., stanowi decydujący moment, decydujący nietylko o wyniku wielkiej wojny, ale o całej przyszłości Polski i Krzyżactwa.

Na hasło, wzywające do walki z odwiecznym wrogiem Polski, poczęły się ściągać setki i tysiące rycerstwa polskiego, przybywały hufce, zakute w żelazne zbroice i szybko rosły zastępy żołnierzy Jagiełły. Stanęli tu wszyscy głośni rycerze polscy,



Pomnik Jagiełły i Jadwigi na Plantach w Krakowie.

Obie strony zdawały sobie jasno z tego sprawę i już od początków XV. w. poczęły się przygotowywać do walnej rozprawy. I w r. 1409 nastąpiło ze strony polskiej wypowiedzenie wojny, którą postanowiono na zjeździe w Łęczycy. Wnet potem rozpoczęły się krwawe zapasy, wśród których wielka, wiekopomna

jak Zbigniew Oleśnicki, Zyndram z Maszkowic, Marcin z Wrocimowic i najsławniejszy wśród nich Zawisza Czarny. Stanęły dalej wojska litewskie pod swoim nieustraszonym wodzem księciem Witoldem, stanęli Rusini, wreszcie Czesi, których wiódł sławny Żyżka. Przybyli nawet z pomocą Polakom bojarowie wołoscy, a nawet Tatarzy. Ogółem przeszło 100.000 żołnierzy miał pod sobą Jagiełło, naczelny wódz w wielkiej wojnie.

Przeciwko tym zastępom, przejętym wiarą w dobrą swą sprawę, wystawili Krzyżacy wojsko liczebnie nieco słabsze, ale za to rycerzy, uzbrojonych i wyćwiczonych w rzemiośle wojennym znacznie lepiej. Prócz Krzyżaków, wszystkich zakutych w ciężkie zbroje żelazne, stanęli do walki z „pogaństwem" najprzedniejsi rycerze współcześni, których z zachodniej Europy ściągnęli na pomoc Krzyżacy.

Oba te wojska spotkały się na obszernych polach między Grunwaldem a Tannenbergiem

w dniu 15 lipca 1410.

Rycerstwo polskie, przejęte szczerze duchem chrześcijańskim, przystąpiło wraz z królem do spo-



Prałat Jego Św. ks. dr. Czesław Wądolny.

wiedzi i komunii, a następnie wysłuchało mszy św., poczem, wzmocnione na duchu, uszykowało się do boju. Oddziały litewskie, ruskie i tatarskie wiódł książę Witold, na czele reszty wojska stanął Zyndram z Maszkowic.

Za chwilę miała się rozpocząć walka. Wtem w obozie polskim zjawili się dwaj rycerze krzyżaccy, niosący dwa obnażone miecze. Byli to posłowie Wielkiego Mistrza Ulrycha, naczelnego wodza wojsk nieprzyjacielskich; przynieśli te miecze jako podarek mistrza, z wezwaniem do rozpoczęcia bitwy. Król Jagiełło przyjął oba miecze, wierząc, że buta i pycha Krzyżaków dozna w tym dniu pogromu. Wnet potem wydał hasło do rozpoczęcia walki. Zagrzmiały trąby i bębny, a równocześnie z tysiąca piersi poszła ku niebu odwieczna pieśń rycerstwa polskiego:

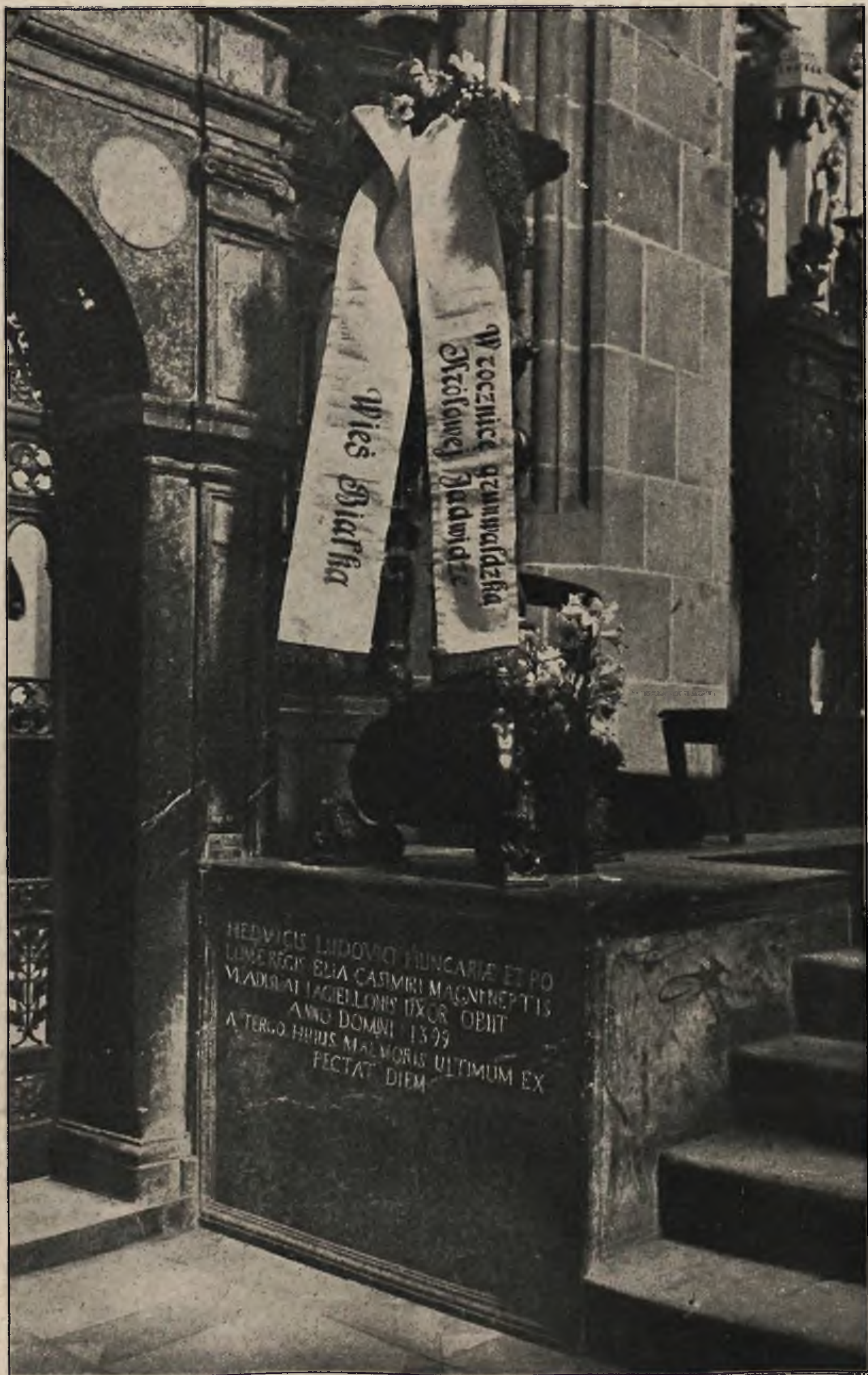
„Bogarodzica Dziewica,
Bogiem sławiena Maryja
U Twego Syna Gospodzina,
Ziści nam — spust winam".



Środek wsi Tannenberga.



Stara chata wieśniacza w Grunwaldzie, w pobliżu miejsca bitwy; chata ta sięga podobno czasów Jagiełły.



Grób królowej Jadwigi w katedrze na Wawelu.

Pieśń ta pokrzepiła jeszcze bardziej rycerstwo polskie. A była taka siła w tych głosach i w tej pieśni, jakby naprawdę grzmoty poczęły się roztaczać po niebie. Zadrgały kopie w rękach rycerzy, zadrgały chorągwie i chorągiewki, zadrżało powietrze, zakolebały się gałęzie w boru, a zbudzone echa leśne jęły odzywać się w głębinach i wołać i jakby powtarzać jeziorom i łęgom i całej ziemi, jak długa i szeroka.

„Ziści nam — spust winam!
Kyrie Elejson!“

Dźwięk pieśni zmieszał się z tententem koni. To rycerstwo Witoldowe ruszyło przeciw Krzyżakom. Straszne było to pierwsze starcie. Łoskot, kwik koni, chrzęst zbroi i szczęk oręża słychać było daleko. Walka zawrzała na całem prawem skrzydle, walka namiętna, zaciekła, na śmierć i życie.

Przez godzinę trudno było zoryentować się i ocenić położenie. Widać było tylko tłum kłębiących się ciał, zapamiętałych w walce i mordowaniu. Zwolna jednak rycerstwo krzyżackie poczęło brać górę nad gorzej uzbrojonymi Litwinami, których szeregi cofały się ku środkowi pola bitwy.

Ale wówczas ruszyły do boju zastępy polskiego rycerstwa. A tu siły były równe, równość broni i koni, jednakie ćwiczenie rycerskie. A górowało wojsko polskie męstwem, górowało przedewszystkiem wiarą w słuszność swej sprawy. Straszna była ta bitwa. Zwłaszcza wówczas, gdy odrzucono strzaskane kopie, a chwycono za miecze i topory. „Tarcza uderzała wówczas o tarcz, mąż zwierał się z mężem, padały konie, przewracały się znaki, pękały pod uderzeniem brzeszczotów i obuchów hełmy, naramienniki, pancerze, oblewało się krwią żelazo, walili się z siodeł na kształt podciętych sosien witezie“.



Kamień pamiątkowy na miejscu bitwy pod Grunwaldem, postawiony przez Niemców na cześć W. Mistrza Ulrycha.

„I równie jak grad sypie się niemiłosiernie z miedzianej chmury na łan żyta, tak gęsto sypały się ciosy okrutne i biły miecze, biły oksze, biły topory, biły bez tchu i miłosierdzia, dźwięczały jak w kuźni żelazne blachy, śmierć gasiła niby wicher żywoty, jęki rwały się z piersi, gasły oczy, a zbielałe młodzieńcze głowy pogrążały się w noc wiekuistą“.

Z wzgórza pobliskiego patrzał na te straszne zapasy swych wojsk z Krzyżakami król Jagiełło i błogosławił zastępy polskie. W chwili najkrytyczniejszej rzucił się wraz z swą świtą w wir walki i bohaterstwa swego omal nie przypłacił życiem, gdyż jeden z Krzyżaków, Dypold Kikierzyc, rzucił się ku niemu z włócznią, godząc wprost w pierś króla. Na szczęście jeden z młodych rycerzy polskich, Zbigniew Oleśnicki, późniejszy biskup i kardynał, ocalił króla, zrzucając Krzyżaka z konia.

Widok walczącego pospołu z rycerstwem króla wlał nową otuchę w serca wojsk polskich. Natarli więc z jeszcze większą zaciekłością na Krzyżactwo i wreszcie zdołali je przełamać. Nie pomogły im



Zamek w Dąbrownie.



Miejsce głównego starcia od strony krzyżackiej.

już nowe zastępy, które na pole walki wysyłał Wielki Mistrz, nie pomogło chwilowe obalenie wielkiej chorągwi krakowskiej, zwycięstwo rycerstwa polskiego było już pewne. Dalszy ciąg bitwy zamienił się w prawdziwą rzeź Krzyżactwa. Wrócili wówczas pomścić swą pierwotną porażkę Litwini, dysząc zemstą i nienawiścią, rzuciło się też na pokonanych Krzyżaków chłopstwo z kosami i cepami, prażąc niemniej dzielnie nienawistnych wrogów.

Dzień 15 lipca 1410 stał się też dla Zakonu dniem strasznej klęski, dniem gniewu Bożego. Kto nie chciał się poddać, ginął. Podobnej klęski, tak strasznego pogromu, nikt nie pamiętał.

Pod stopami zwycięskiego króla Jagiełły padł nietylko Zakon i to tak gruntownie, iż nigdy się już nie dźwignął, ale padły i Niemcy całe, które kwiatem swego rycerstwa wspomogły Krzyżaków, wżerających się coraz głębiej w żywy organizm słowiański.

Padł na polu bitwy Wielki Mistrz Zakonu Ulrych, padło przeszło 50 dowódców, padło 40.000 rycerzy, a tyleż prawie dostało się do niewoli. Wszystkie chorągwie krzyżackie dostały się w ręce polskie jako trofea zwycięstwa.

Zdobyto nadto cały obóz wraży, nieprzeliczoną moc wozów, zbroi, zapasów żywności. W jednym dniu cała armia krzyżacka przestała istnieć, przestała grozić Polsce.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Król Władysław, książę Witold, Zyndram z Maszkowic i inni wodzowie skupili się na wzgórzu i dysząc utrudzonemi piersiami, spoglądali na pobojowisko, zasiane trupami ludzkimi i końskimi, przesiąknięte krwią przelaną. „Ciężki był dzień i straszny plon tego żniwa, ale oto nadchodził wielki, boży, radosny wieczór".

„Więc niezmierne szczęście rozjaśniło twarze zwycięsców, bo rozumieli wszyscy, że to był wieczór, kładnący koniec nędzy i trudom nietylko dnia tego, ale całych stuleci".

Po zwycięstwie.

Bitwa pod Grunwaldem była największą bitwą w wiekach średnich, a w dziejach naszego narodu stanowiła i stanowi jedną z najpiękniejszych kart. Niestety nie umieli Polacy wykorzystać należycie swego świetnego zwycięstwa, zwłaszcza pod względem materyalnym. Zawarty następnego roku pokój z Krzyżakami, przyniósł Polsce tylko ziemię dobrzyńską i zwrot kosztów wojennych. Litwie zaś Żmudź. Krzyżacy więc uzyskali warunki bardzo dla siebie korzystne.

Moralne jednak skutki zwycięstwa były olbrzymie. Wyrazem ich była przedewszystkiem unia horodelska, zawarta 1413 r. między Polską a Litwą i postanawiająca połączenie obu narodów. Był to początek zespolenia Polski z Litwą, uwieńczonego w r. 1569 przesławnym aktem Unii Lubelskiej.

Ze względu na tę olbrzymią, wiekopomną doniosłość bitwy pod Grunwaldem, rocznica jej pozostanie po wiek wieków uroczystem, świętem dla nas wspomnieniem.



Sarkofag Kazimierza Wielkiego w katedrze na Wawelu.

Rok grunwaldzki.

Cały kraj, cała Polska czci w tym roku uroczyście pamięć wiekopomnego zwycięstwa.

Z prowincyi nadchodzą każdego dnia wiadomości o uroczystych obchodach, urządzanych tam na pamiątkę bitwy pod Grunwaldem.

Obchód w Gorlicach.

Wśród miast, które szczególniej uroczyście święciły rocznicę grunwaldzką, wyróżniły się wspaniałością obchodu Gorlice. Udział w pochodzie wzięły tłumy włościaństwa polskiego z okolicznych wsi, wszystkie polskie towarzystwa i ogół mieszkańców miasta.

Ulice i domy przybrane były w zieleń, flagi i nalepki illuminacyjne, a powszechny zapał potęgował uroczysty nastrój. Początek obchodu obwieściły wystrzały moździeżowe, poczem orkiestra z Nowego Sącza odegrała pobudkę.



Jar wśród pól grunwaldzkich, z bielejącemi po dziś dzień kośćmi poległych.



Kościół w Leszcie pod Grunwaldem.

Około 9 rano zebrali się uczestnicy obchodu pod gmachem „Sokoła“, skąd ruszono w pochodzie, z banderyą włościańską na czele, ku boisku sokolemu. Tam odbyła się msza polowa, odprawiona w namiocie przez ks. kanonika Sosa. Po mszy św. odbył się pochód w tym samym porządku do miasta.



Pobojowisko pod Grunwaldem.



Wieś i kościół w Tanennbergu.

Górale zakopiańscy

wezmą udział w uroczystościach grunwaldzkich w Krakowie. Przybędzie ich tu cały oddział, który pokaże swe wspaniałe, prześliczne tańce góralskie. Zdjęcie nasze przedstawia górali zakopiańskich, przygotowujących się do popisów krakowskich.



Zamek w Dąbrownie, zbudowany na murach dawniejszego zamku krzyżackiego.



Widok miejsca ostatecznego pogromu Krzyżaków pod Grunwaldem.

Zgon znakomitego rzeźbiarza.

Bolesną i ciężką stratę poniosła polska sztuka rzeźbiarska. Zmarł mianowicie w ubiegłym tygodniu Antoni Popiel, jeden z najwybitniejszych artystów rzeźbiarzy, talent ogromnie bujny i twórczy, autor wielu wspaniałych pomników, które w długie lata będą chlubą polskiego rzeźbiarstwa.

Śp. Antoni Popiel, z rodu Krakowianin, kształcił się naprzód w krakowskiej Akademii sztuk pięknych, następnie w Wiedniu i we Włoszech. Już pierwsze, młodociane jego prace, zwróciły uwagę krytyki na młody, rozwijający się talent i były istotnie znakomitym zadatkiem dalszej twórczości. Prace Popiela cechowało poszanowanie linii rysunkowej modelu, smak prawdziwie artystyczny, sumienność wykonania, obok wielkiej fantazyi poetyckiej.

Wśród mnóstwa dzieł Popiela jedno z pierwszych miejsc zajmuje jego kolumna Mickiewicza we Lwowie, pomnik wielkiej wartości artystycznej, stanowiący prawdziwą ozdobę stolicy. Niemniej wsławił się Popiel wykonaniem pomnika Kościuszki w Waszyngtonie w Ameryce, wzniesionego niedawno i tak uroczyście przed paru tygodniami odsłoniętego. Pomnik Kościuszki, który ma stanąć w najbliższym czasie w Krakowie, jest też w części dziełem Popiela, gdyż on dokończył pracy, zaczętej przez śp. prof. Marconiego. Z innych prac zmarłego artysty wspomnieć należy o pomniku Korzeniowskiego w Brodach, o figurach i karyatydach, zdobiących gmach teatru miejskiego we Lwowie, o biuście Śniadeckiego w instytucie chemicznym uniwersytetu lwowskiego oraz wielu innych pomniejszych.

Śp. Antoni Popiel ożeniony był z córką śp. prof. Marconiego, po którym objął katedrę modelowania na politechnice we Lwowie; zmarł po krótkiej chorobie w Lubieniu Wielkim pod Lwowem, przeżywszy 45 lat.

Zwłoki znakomitego artysty przewieziono do Lwowa, gdzie w sobotę ubiegłą odbył się uroczysty pogrzeb przy tłumnym udziale publiczności.



Banderya włościańska na czele pochodu w dniu obchodu grunwaldzkiego w Gorlicach.



Mesza polowa na boisku sokolem w Gorlicach.

ARNOLD BENNETT.

WIDMO

7

— Pani ma w najwyższym stopniu rozdrażnione nerwy — rzekłem — i muszę pani coś na to przepisać. Otóż moją pierwszą receptą będzie, żebyśmy już nie mówili o śmierci Alreski.

Starałem się mówić jak najnaturalniej, tak że i ona zaczęła się stopniowo uspokajać.

— Nie spałam od owej nocy — szepnęła znużona. — A więc pan nie chce prawdy mi powiedzieć?...

— Cóż ja innego powiedzieć pani mogę, prócz tego, że pani nie jesteś zdrową? Ale prawda. Mam ostatecznie do udzielenia pani wiadomość. Biedny Alreska zrobił mnie swym spadkobiercą.

— To godne jego zacnego serca.

— Prawda. Ale ja nie rozumiem, dlaczego on tak postąpił?

— Rządził się wdzięcznością.

— Rzadki rodzaj wdzięczności — odpowiedziałem.

— Czy nie podaje żadnego powodu w tym testamencie?

— Ani jednego słowa.

Przypomniała mi się koperta, którą dopiero co otrzymałem od prawnika i wspomniałem o tem Rozie.

— Otwórz ją pan teraz — rzekła. — Wielce mnie to interesuje... Niech pan mego zaciekawienia nie bierze mi za złe...

Rozdarłem tę kopertę. Wewnątrz była druga koperta i list. Przejrzałem ten list.

— To nic ważnego — rzekłem z udaną obojętnością i chciałem schować list do kieszeni. Najgorsze to, że nie posiadam aktorskiego talentu; nie umiem grać roli...

— Czekaj pan! — zawołała żywo, a ja zawahałem się wobec błagalnej nuty w jej tragicznym głosie.—Pan mnie nie oszuka, pani e Foster! W tem jest coś ważnego. Błagam pana, niech mi pan ten list przeczyta. Czy pan doprawdy sądzi, że ja nie mam prawa prosić pana o to? Dlaczego nie mamy mówić bez ogródek? Pan wie i wiem także, że jakaś tajemnica otacza tę straszliwą śmierć. Bądź pan ze mną szczerym, mój przyjacielu. Ja wiele przecierpiałam w tych ostatnich dniach...

Milcząc teraz, patrzyliśmy na siebie. Dlaczego, w istocie, miałem ją traktować, jak dziecko, tę kobietę o ujarzmiających oczach, o stanowczem, rozkazującem czole? Dlaczego miałem przedłużać tę pustą grę udawania?

— Przeczytam pani list jego — rzekłem. — Zachodzi istotnie tajemnica w związku z śmiercią Alreski, i kto wie, może jesteśmy w przededniu zbadania tej tajemnicy.

List nosił datę tę samą, co testament Alreski, to znaczy datę, wyprzedzającą o parę dni przybycie nasze do Bruges. Brzmiał on zaś, jak następuje:

„Mój drogi przyjacielu!

Zdaje mi się, że przyjdzie mi umierać i to z dziwnej przyczyny, którą sądzę, że odgadłem. Jak ją odgadłem i w jakich okolicznościach, to wszystko opisałem szeroko i ten dokument znajduje się w opieczętowanej kopercie, do której ten list dołączony. Mam specjalny powód, dla którego tego rodzaju opowiadania spisuję. Pragnąłbym, by niczyje oko dokumentu tego nie czytało. Jednakże przewiduję, że może z czasem to opowiadanie przydać się będzie mogło tobie — może nawet w niedalekiej przyszłości. Być może, że ty, Karolu, odziedziczysz po mnie *nietylko* mój majątek. Gdyby tak istotnie być miało, wtedy złam pieczęć i przeczytaj to, co napisałem. Jeżeli nie, proszę cię, po upływie pięciu lat zniszcz to pismo, nieczytane. Nie chcę wyrażać się jaśniej.

Zawsze twój

Alreska.“

— I tylko tyle? — zapytała Roza, gdym skończył czytanie.

Podałem jej list, żeby przejrzała go sama. Drżała jej ręka, gdy mi go zwracała.

I nagle zarumieniliśmy się oboje. Oboje byliśmy zmieszani i unikaliśmy spojrzenia sobie w oczy. Milczenie stawało się trudnem do zniesienia. Przerwałem je pierwszy.

— Pytanie teraz, co ja mam zrobić? Alreska nie żyje. Czy mam uszanować jego wolę, czy otworzyć tę kopertę teraz? Gdyby mógł był przewidzieć niepokój pani, zapewne nie stawiałby tych warunków. A zresztą, czyż można wiedzieć, czy te okoliczności, o których on wspomina, już nie istnieją? Czyż można wiedzieć — wymówiłem te słowa z mimowolnem uniesieniem — czy ja już dzisiaj nie jestem spadkobiercą n i e t y l k o majątku Alreski?

Zdawało mi się, gdy wymówiłem te zuchwałe słowa, że jestem zupełnie spokojny, ale w duszy mojej szalał jakiś zamęt miłości i ciemnych przeczuć, tak że sam nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Rozy oczy spoczęły na mnie. Wyciągnęła rękę, jak gdyby chcąc wziąć kopertę.

— Niech pani rozstrzyga — rzekłem. — Czy mam kopertę otworzyć, czy nie.

— Niech pan otworzy — szepnęła — on nam przebaczy.

Zacząłem łamać kopertę.

— Nie! nie! — krzyknęła, zrywając się i zaciskając ręce. — Byłam w błędzie. Zostaw pan to w spokoju, na miłość boską! Nie zniosłabym poznania prawdy!

I ja się zerwałem, zelektryzowany gwałtownością tego wybuchu. Ściskając kopertę, zacząłem biegać po pokoju i sam dziwiłem się półprzytomnie, dlaczego kroki moje tak głośno się rozlegają? Wreszcie stanąłem przed nią. Nie poruszyła się z miejsca. Stała jak posąg w powłóczystej swej czarnej sukni, tuląc obie ręce do bladej, zmizerowanej twarzy.

— Stanie się wedle życzenia pani — rzekłem. — Nie otworzę tej koperty.

I schowałem ją do portfelu. Siedzieliśmy oboje, spokojniejsi już teraz.

— Napijemy się herbaty, dobrze? — przemówiła Roza. Opamiętała się prędzej niż ja. Nie potrafiłem odpowiedzieć na to jej zwykłe pytanie.

Zadzwoniła. Służąca wniosła herbatę. Uderzyła mnie twarz tej dziewczyny. W twarzy tej czytało się spryt i przebiegłość.

— Co za doskonała herbata! — zauważyłem po pewnej chwili. Uważaliśmy oboje za właściwe, osłaniać teraz wzburzenie naszych uczuć zwykłą, codzienną gawędą. — Nie przypuszczałem, żeby w Bruges takiej herbaty dostać było można.

— Bo i nie można — uśmiechnęła się Roza. — Ja nigdy nie podróżuję bez własnego samowaru. Yvetta, moja służąca, nigdy o tem nie zapomina.

— Pani służąca?

— Tak!

— To zdaje się być niezwyczajna służąca — zarezykowałem.

— Yvetta? Pewnie, że nie jest zwyczajna. Służyła Bóg wie u ilu sopranów Europy — do kontraltów nie chce iść. Posiadam ją, gdyż przelicytowałam w cenie moje rywalki. Niezrównana z niej fryzyerka. A to tak przyjemnie nie potrzebować sprowadzać fryzyerów w każdem obcem mieście! To ona wymyśliła moją koafiurę Elzy... Może ją pan sobie przypomina?

— Doskonale! Nawiasem, kiedy pani rozpoczyna dalsze swe występy?

Uśmiechnęła się nerwowo.

— Jeszcze... jeszcze nie postanowiłam.

Nic ważniejszego zresztą nie zaszło tym razem. Oświadczywszy Rozie, że nazajutrz wyjeżdżam do Anglii, pożegnałem się z nią. Nie powiedziała mi, że ma nadzieję, że się jeszcze zobaczymy, a i ja nie śmiałem jej powiedzieć, że gorąco tego pragnę. I tak rozstaliśmy się, nie dopowiedziawszy sobie tysiąca rzeczy, rozstaliśmy się w nastroju czegoś nieokreślonego, przerwanego, niedokończonego, jakby...

Lecz następnego dnia zaraz otrzymałem od Rozy krótki bilecik, który serce moje poruszył i napełnił je radosnem oczekiwaniem.

„Gdyby pan zechciał spotkać się ze mną w kościele św. Idziego dziś rano o jedenastej, zasięgnęłabym rady pańskiej co do pewnej kwestyi. *Roza*“.

Nie mogłem się doczekać naznaczonej godziny. Kościół św. Idziego jest to wielki kościół, stojący na pustym placu w odległej stronie miasta. Czekałem na Rozę w kaplicy blisko wejścia. Przyszła w pięć minut po godzinie, lepiej już wyglądająca, spokojniejsza i raźniejsza. Usiedliśmy w kąciku jednej z dalszych ławek. Oprócz nas i kilkorga służby, zamiatającej posadzkę, nikogo nie było widać w kościele.

— Pan pytałeś mnie wczoraj o moje dalsze występy — zaczęła.

— Tak — odpowiedziałem — i nie bez powodu pytałem. Jako lekarz oświadczę pani, że dobrzeby było, gdybyś się pani jak najprędzej i jak najzupełniej oddała swemu zajęciu.

Tu przypomniałem sobie, że podobną radę z pełni mego młodzieńczego doświadczenia parę dni temu dawałem Alresce.

— Fakt jest, że podpisałam kontrakt i zobowiązałam się śpiewać w „Carmen“ w paryskiej *Opéra Comique* za dwa tygodnie. Nigdy w tej operze tam nie śpiewałam i zależy mi — właściwie zależało mi na tem bardzo. Dziś rano otrzymałam telegram od dyrektora, wzywający mnie bez zwłoki do Paryża, gdyż zaczynają się próby.

— I pani jedzie?

— To właśnie pytanie? Muszę pana jako życzliwego przyjaciela mego poradzić. Rzecz bowiem w tem, że grożą mi nieprzyjemnościami, jeżeli się ukażę w *Opéra Comique*, a specyalnie w „Carmen“. Cała sprawa marna jest nad wyraz, ale ja się naprawdę trochę boję...

— Czy wolno mi posłyszeć, o co chodzi?

— Czy zna pan Karlottę Deschamps, która zawsze śpiewa Carmen w *Opéra Comique?*

— Słyszałem jej śpiew.

— Nawiasem, to jest jej przyrodnia siostra, ta Marie Deschamps, która śpiewa w operetkach pańskiego kuzyna w londyńskim *Diana.*

— Poznałem Marie. Nieszkodliwe stworzonko!

— Jej przyrodnia siostra nie jest to tak niewinna osoba. Jest córką matki Hiszpanki, podczas gdy matka Marie to angielka, z ludu. Co do Karlotty, gdy byłam młodszą — (o, z jakąż ślicznie poważną miną ta dwudziestotrzyletnia istota mówiła o swoim wieku), — śpiewałam w *Opéra Comique* w Paryżu, w czasie gdy Karlotta była tam gwiazdą, i miałam nieszczęście ściągnąć na siebie jej zazdrość. Strasznie jest ona zazdrosna i to potęguje się u niej w miarę, jak się starzeje. Zaprzysięgła mi, że jeżelibym się ośmieliła wystąpić jeszcze kiedy w *Opéra Comique*, to nie każe zamordować. Śmiałam się z tego. Zapomniałam o całej tej sprawie, ale jakoś tak się złożyło, że od tego czasu już tam więcej nie śpiewałam. A teraz, gdy się tak składa, że mam śpiewać nietylko w *Opéra Comique*, ale nadto w „Carmenie“, która jest jej uprzywilejowaną rolą, Deschamps szaleje ze złości. Jestem najpewniejsza w świecie, że ona knuje coś złego. Dwa razy pisała do mnie z najstraszliwszemi pogróżkami. Może to się dziwnem wydać, że ja się obawiam takiej kobiety, jak Karlotta Deschamps, ale tak jest. Byłabym prawie skłonną zerwać tę umowę.

Że kobieta z charakterem Rozy mogła się choć przez chwilę wahać z dotrzymaniem umowy, świadczyło chyba, że nie była sobą. Zapewniłem ją, że te obawy są bezpodstawne, że żyjemy przecież w dziewiętnastym wieku i że wściekłość owej Deschamps nie wyjdzie poza pogróżki. W końcu oświadczyła, że jeszcze się zastanowi.

— Niech pani się nie namyśla — nalegałem — niech pani odrazu jedzie do Paryża. Chociażby dzisiaj. Trzeba działać. To pani wyjdzie na dobre.

— Ależ jeszcze o tylu rzeczach wpierw pomyśleć trzeba — rzekła, śmiejąc się z mojego przejęcia.

— Naprzykład?

— Otóż naprzykład, biżuterye moje są w Londynie złożone u mojego tamtejszego bankiera.

— Czyż pani nie może śpiewać bez biżuteryi?

— Nie w Paryżu. Kto słyszał o czemś podobnem?

— Może pani napisać do swego bankiera, aby je wysłał przesyłką asekurowaną.

— Pocztą! Ależ one są warte parę tysięcy funtów. Powinnabym w istocie pojechać po nie, ale czasu mi chyba nie starczy.

— Niech mi pani pozwoli przywieść je sobie do Paryża — rzekłem. — Niech mi pani da list do swego bankiera, a podejmę się oddać pani te klejnoty do rąk.

— Nie śmiałabym obarczać pana tak wielkim kłopotem.

Nęciła mnie jednakże myśl oddania jej przysługi. Możność przydania jej się na coś, wydawała mi się szczęśliwością najwyższą.

— Ależ ja o to proszę jak o łaskę.

— Czy rzeczywiście?

Uśmiechnęła się cudownie i ustąpiła. Zyczyła sobie, żebyśmy z kościoła nie wychodzili razem. Pierwsza wyszła przedemną. Poczekałem parę minut, a potem powoli wyszedłem. Obejrzawszy się przypadkiem, przechodząc przez plac, ujrzałem postać kobiety, jakoby mi znajomej i pchnięty nagłym impulsem, zawróciłem szybko. Tą kobietą była Yvetta, widocznie przestraszona, gdym się do niej zbliżał.

— Czy panna czeka na swoją panią? — zapytałem ostro. — Ponieważ.

Spojrzała na mnie zjadliwie.

— A cóż to, czy pan może myślał, że czekałam na pana?

Wobec zuchwalstwa dziewczyny, umilkłem i poszedłem dalej. W dwie godziny później byłem już w drodze do Londynu.

Rozdział IX.

Pociąg zdążający na odejście parowca miał odchodzić za dziesięć minut, a peron na stacyi Victoria w Londynie przedstawiał taki obraz ożywienia i ruchliwego zamętu, jak codzień o dziewiątej w owych czasach. Pogoda była okropna. Mrzyło cały dzień, a teraz deszcz lał strumieniami, pędzony podmuchami wschodniej wichury. To też mniej było pasażerów, niż zwykle, a ci, którzy zdecydowali się ryzykować przeprawę przez Kanał, frasobliwie kręcili się wpośród stosów bagaży w chwiejnym świetle lamp gazowych. W chwili, gdym nadawał wyjątkowo naładowany i ciężki kuferek do Paryża, młoda kobieta tuż koło mnie wsunęła główkę w okienko ekspedycyi.

— Pan Foster... jeśli się nie mylę? Moja dorożka jechała tuż za pańską i już na peronie chciałam się z panem przywitać. Ale pan mnie nie widział.

Te słowa lekko, swobodnie wyrzuciły czerwone usteczka z poza białej gazowej woalki.

— Miss Deschamps! — zawołałem.

— Bardzo szczęśliwie, że pan moje imię pamięta! Zawsze taki sam ładny i dumny, jak widzę! Nie widziałam pana od owego przyjęcia u Sulliwanów. Czemu to pan nie zaszedł do mnie której niedzieli? Przecież pana zapraszałam!

— Czy istotnie zaprosiła mnie pani?

— No przecież!... Jadę do Paryża... i to w taką pogodę!

— I ja też!

— To jedźmy razem, dobrze?

— Z największą przyjemnością. Ale dlaczegoż pani obrała taką noc, jak ta dzisiejsza?

— Ja nie wybierałam. Widzi pan, ja jutro zaczynam seryę czternastu występów w *Casino de Paris* i muszę być tam. Aniby pan nie uwierzył, ile oni mi płacą... Truppa Diany odbywa *tournée* po prowincyi, przez czas, gdy teatr odnawiają. Ja bo nie cierpię prowincyi i miast prowincyonalnych. To też moja przyrodnia siostra Karlotta, pan wie... wyrobiła to, że mnie zaangażowano do Paryża. Będę mieszkała z nią razem. Czy pan zna Karlottę?

— Nie, dotychczas nie znam jej.

— No, Karlotta, to Karlotta. Straszna blagierka i ma w sobie coś dzikiego. Zawsze się kłócimy, ile razy się widzimy... nie często zresztą. Ona chciałaby przewodzić nademną, jako starsza, a ja na to nie pozwalam. Choć jest starsza odemnie, wiele starsza, pan wie. Ale to najgorsze, że ona jest tak strasznie tajemnicza. Nigdy nie można wiedzieć, co ona knuje. Ot, mówił mi ktoś, że widział Karlottę w Londynie. Ale ja temu nie wierzę, bo ona mnie przecież oczekuje w Paryżu; teraz jesteśmy w najlepszej przyjaźni i zajrzałaby do mnie z pewnością, gdyby była w Londynie.

— Naturalnie — odpowiedziałem, pytając się w duchu, czy też od Marie Deschamps zdobędę jakie wiadomości, przydatne dla Rozy.

Nareszcie gwiazda teatru Diana zdążyła pożegnać jakiegoś pana, który ją odprowadzał i uspokoić się co do swoich kufrów. Na zegarze dochodziła dziewiąta, a posługacz wpakował nas, Maryę i mnie, do pustego przedziału mieszanego wozu tuż za lokomotywą. Był to przedział pierwszej klasy, ale należał do starego typu wagonów. Marya wyrażała głośno krytyczne uwagi, a wiatr wył, wprost wył wśród zabudowań stacyi.

— Wolałabym nie jechać — rzekła smutno — będę strasznie chorowała w czasie przeprawy przez kanał.

— Należy się spodziewać — odpowiedziałem, przekomarzając się z nią i otworzyłem gazetę. — Podobno parowiec poranny, idący z Calais, nie mógł dobić ani do Dover ani do Folkeston i musiał wrócić do Calais. Niech pani sobie wyobrazi, jak tam przyjemnie musiało być pasażerom!

— Och!... Ale panie Foster, co to za pudło przy pańskim boku?

— To kaseta z biżuteryami.

— Taka ogromna?

Nie ukrywała chęci zajrzenia do środka, ale ja zręcznie rozmowę skierowałem na inny temat. Ładna dziewczyna nadąsała się i poprosiła mnie o gazetę. Głośno odczytywała realistyczne opisy pogody i mało obiecujące przepowiednie sprawozdawcy. Nagle zerwała się.

— Nie, ja nie pojadę!

— Nie pojedzie pani?

— Nie! Zanadto jest źle. Przestraszają mnie te sprawozdania w gazecie.

— A cóż Casino de Paris?

— Pokażę im figę! Trudno, niech na mnie czekają. Spróbuję jutro znowu. Drogi panie Foster, niech pan powie konduktorowi, żeby wydostał te moje pudła, a ja pójdę poszukać mojej służącej.

Pociąg już o pięć minut spóźnił się z odejściem, z jej powodu spóźnił się o drugie pięć, ale ona była z tego rada. Na moją głowę za to spadły marudzenia posługaczy i konduktora. W nagrodę obdarzyła mnie pięknym uśmiechem.



List nosił datę tę samą, co testament Alreski.

— Do widzenia panie Foster! Strzeż pan dobrze swojej cennej kasety z biżuteryami!

Nosiłem tę kasetę przy sobie, chodząc tam i napowrót po peronie. Teraz bez tchu prawie wskoczyłem do mego przedziału, gdyż pociąg już gwizdnął.

— Szczęśliwej drogi! — zawołała ku mnie, powiewając chusteczką, mała czarodziejka. Pogodne to było i miłe stworzenie i to spotkanie z nią rozweseliło mię trochę.

Zatrzasnąwszy drzwiczki wagonu i oderwawszy oczy od okna, z uśmiechem zadowolenia zasiadłem w moim kąciku, lecz w tejże chwili ze zdziwieniem zauważyłem, że kąt naprzeciw mnie był zajęty. Podczas gdy ja kręciłem sie po peronie w usługach Marie, drugi pasażer wsiadł tu tymczasem, a tym pasażerem był ów tajemniczy i ponury jegomość, którego dwa razy przedtem spotkałem raz na Oxeford-Street, a raz w katedrze w Bruges, podczas mojego nocnego czuwania. Musiał się widocznie nagle zdecydować jechać, gdyż pomimo złej pogody, nie miał na sobie ani płaszcza ani parasola, tylko tużurek i cylinder miejski.

W miarę, jak zastraszonymi oczyma patrzyłem w twarz tej dziwnej, wyniosłej osobistości, gasł mój wesoły nastrój, jak zapałka na wietrze. Zaczęło mnie gnębić niemiłe poczucie, że chwyta mnie i osnuwa się dokoła mnie sieć nieprzyjaznych okoliczności, że jestem nieświadomą ofiarą jakiegoś potajemnego, strasznego spisku, który niechybnie doprowadzić mnie musi do zguby. Podobne uczucie ogarniało mnie za każdem poprzedniem spotkaniem z tą jakąś złośliwą osobistością, w mniejszem jednakże stopniu, i prędko umiałem się z tego otrząsnąć. Teraz przygniotło mnie to i opanowało. Pociąg huczący, leciał, a ja w duchu skarżyłem się na jego powolność. Pragnąłem już być u kresu podróży, daleko od tego nieruchomego, nieprzeniknionego towarzysza drogi. Wzrok jego nie schodził z mojej twarzy, a ja czułem się nieswój, coraz bardziej nieswój... Starałem się czytać gazetę, udawałem, że śpię, zacząłem coś nucić, gwizdać nareszcie. Za nic jednak nie mogłem zimnej krwi odzyskać. Najgorsze jednak, że on musiał widzieć niepokój mój i moje zakłopotanie; świadczył o tem szyderski wciąż jego uśmiech.

Nareszcie poczułem, że coś musi się stać. W każdym razie trzeba koniecznie przerwać milczenie tego człowieka. To też zebrałem się na odwagę i starając uśmiechnąć się uprzejmie, zauważyłem:

— Obrzydliwe dziś powietrze. Niktby się tego nie spodziewał, tak wcześnie we wrześniu!

Niemądra to była uwaga, taka pospolita, tuzinkowa. Siedzący naprzeciw zignorował ją zupełnie. Tylko kąciki ust wykrzywiły się jeszcze bardziej, wyrazem wzgardy i nienawiści.

To mnie trochę rozgniewało.

— Czy to ja pana widziałem niedawno w katedrze, w Bruges? — zapytałem krótko, szorstko prawie.

Roześmiał się. A ten śmiech doprawdy przeraził mnie.

Pociąg zatrzymał się w tej chwili na jakiejś stacyi. Zawahałem się, idąc za wewnętrznym przymusem, wybiegłem z przedziału i umieściłem się w innym, dalej ku tyłowi. Ten przedział był próżny. Ogarnęło mnie kojące uczucie ulgi. Umieściwszy szkatułkę na kolanach, odetchnąłem znowu swobodnie, myśląc, że zwaryowałbym chyba, gdybym kwadrans dłużej znosić musiał obecność tego wstrętnego człowieka. Tu zacząłem rozmyślać o Rozecie Rozie. Na pociechę po nieznośnem towarzystwie owej milczącej osobistości, wywołałem z zakątków duszy drzemiące tam marzenia i rojenia o niej. Zaczynałem bowiem kochać Rozę... nie, właściwie ja ją już kochałem...

Od chwili pierwszego jej poznania obraz jej pokutował w moich myślach. Przez dłuższy okres czasu, głównie dla tego, że tak bardzo zajęty byłem Alreską, śniłem tylko mglisto o niej. A teraz, w czasie widzeń się naszych w hotelu i w kościele św. Idziego, w najniewinniejszy sposób spętała mnie okowami, których bynajmniej strząsnąć już nie pragnąłem...

Była to zuchwałość z mojej strony. Szczerze sobie przyznawałem, że to była zuchwałość. Byłem sobie młody doktorek, niczem tak dalece nie różniący się od innych podobnych. A ona była cudowną istotą, taką, jakiej hołd oddają monarchowie i świat cały... Ale to przecież nie zmieniało postaci rzeczy i ja się w niej kochałem. Bo ostatecznie była kobietą, młodą kobietą. I ona mnie się radziła! I pozwoliła mi usłużyć sobie! A parę miesięcy temu w Londynie, czyż nie pozwoliła mi mówić do siebie swobodnie i szczerze? Cudna, jedyna, niezrównana młoda dziewczyna przecież była, mimo wszystko i pewien byłem, że serce dziewczęce ma w piersi.

A jednak była to zuchwałość... Przypomniałem sobie to sławne jej narzeczeństwo z lordem Clarenceux, którym się interesował cały wielki świat. Często o tem rozmyślałem. Czy też ona go kochała — czy naprawdę go kochała? A może tylko schlebiała jej jego miłość, tak że wmówiła w siebie, że sama go kocha? Toż ona prawdopodobnie widziałaby różnicę pomiędzy mną a tym sławnym, bogatym, utalentowanym arystokratą?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zgon nestora pisarzy polskich.

Z Warszawy nadeszła żałobna wiadomość, że po długiej słabości zmarł tam w 85 roku życia Kazimierz Kaszewski, zasłużony krytyk literacki i artystyczny, tłómacz arcydzieł literatury dramatycznej greckiej, głęboki myśliciel i wytrawny publicysta. Urodzony w Warszawie 5 marca 1825, początkowe



Zgon znakomitego rzeźbiarza: Śp. Antoni Popiel.

wykształcenie pobierał w szkole obwodowej przy ulicy Nowy Świat oraz w gimnazyum gubernialnem warszawskiem, poczem poszedł na tak zwane kursy dodatkowe, gdzie poświęcił się filologii klasycznej i historyi.

Po zwiedzeniu uniwersytetów zagranicznych powrócił do Warszawy, gdzie mu powierzono urząd sekretarza przy Instytucie wychowania panien w Puławach, następnie przy akademii medycznej w Warszawie, wreszcie przy Szkole Głównej. W r. 1862/3 wykładał logikę i psychologię na kursach przygotowawczych do Szkoły Głównej.



Fot. J. Jaworski, Zakopane.
Ćwiczenia przygotowawcze górali zakopiańskich na obchód grunwaldzki w Krakowie.



Fot. J. Jaworski, Zakopane.
Oddział górali zakopiańskich, którzy wezmą udział w uroczystościach grunwaldzkich w Krakowie.

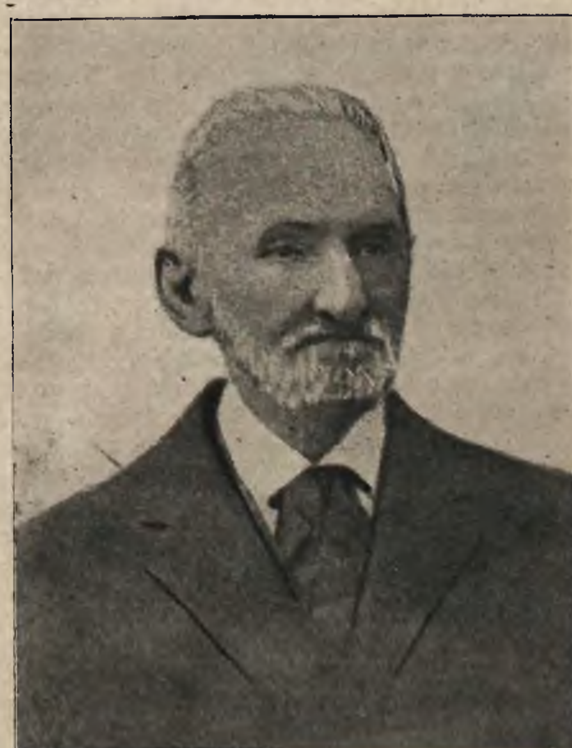
Działalność literacką rozpoczął Kaszewski od przekładów tragedyi Sofoklesa, które ogłaszał od r. 1852 w „Bibliotece warszawskiej“. W r. 1895 ukazały się tragedye Eschilosa. Przekłady te mają niezmierne znaczenie w literaturze, tłómacz bowiem umiał zachować myślową i formalną zgodność z oryginałem, nie uchybiając przytem w niczem ani duchowi języka ojczystego, ani piękności stylu i wiersza. Prócz przekładów arcydzieł dramatycznych greckich, dokonał Kaszewski całego szeregu tłómaczeń z języka francuskiego, włoskiego i niemieckiego, nadto dawał przeróbki obcych sztuk dla teatrów warszawskich.

Wszystkie powyżej wymienione prace były tylko cząstką rozległej jego działalności, żywy bowiem umysł zajmował się wszystkiemi kwestyami, mającemi głębsze znaczenie społeczne, czy dotyczyły one ekonomii, filozofii, fizyologii, czy też przyrodoznawstwa. On pierwszy w Polsce zaznajomił ogół z wynikami studyów Flourensa nad mózgiem. Studya filozoficzne dały sposobność do kilku rozpraw, ponadto drukował w czasopismach warszawskich całe mnóstwo sprawozdań krytycznych z dzieł dotyczących filozofii i estetyki, tudzież recenzye bieżącej beletrystyki i teatru. Poruszał także niejednokrotnie zagadnienia pedagogiczne, zarówno pod teoretycznym jak praktycznym względem.

Jako krytyk zajął Kaszewski stanowisko pierwszorzędne, każdą ocenę znamionowała jasność, bezstronność, umiarkowanie w sądach i ciągły wzgląd na dobro społeczne obok pilnego strzeżenia zasadniczych cech piękna.

Prace swe zamieszczał autor w „Dzienniku warszawskim“, „Bibliotece warszawskiej“, „Pamiętniku literackim“, „Kłosach“, „Tygodniku illustrowanym“ i „Ateneum“. Należałoby pomyśleć o zbiorowem ich wydaniu, gdyż rozproszone po czasopismach mniej są dziś przystępne dla ogółu.

Nawet ci, których nieraz dotykała krytyka Kaszewskiego, wiedzieli, że miał zawsze przedmiot, a nie osobę na względzie i że powodowało nim zawsze ukochanie piękna. To też bardzo słusznie nazwał go Leonard Sowiński „nowożytnym Grekiem“. Warto także zaznaczyć, że interesował się bardzo teatrem i pragnął jego uszlachetnienia, dlatego to tłómaczył i przerabiał także mnóstwo utworów obcych.



Zgon nestora pisarzy polskich: Śp. Kazimierz Kaszewski.

Wśród współczesnych zdobył sobie ś. p. Kaszewski ogólne uznanie, zjednał sobie serca i umysły i wywierał szeroki wpływ kulturalny, pozostawia też po sobie pamięć niezmordowanej pracy i żal głęboki w sercach tych, którzy go znali i cenili.

Kronika tygodniowa.

(Przed Grunwaldem. — Jakie obchód ma dla nas znaczenie. — Jak mu przeszkadzano. — My i Niemcy. — Wystąpienie Langhausa z Gothy. — Jakie postanowienia powziąć należy w dniu obchodu. — Współdziałanie Ukrainy z Niemcami. — I socyaliści nie zostają w tyle. — Naszej młodzieży mała przestroga. — Patryotyczny wyzysk. — Inne obchody, towarzyszące uroczystości grunwaldzkiej. — Bezpodstawne obawy. — Klęska demokratów. — Czego chcieli i co zyskali. — Doboszyński do Kanossy).

Kraków przybrał wygląd odświętny. Nic w tem dziwnego, w dniu bowiem 15. lipca obchodzi Polska, a z nią cała Słowiańszczyzna, pięćsetną rocznicę zwycięstwa na polach Grunwaldu i Tannenberga, kędy starły się ze sobą dwie wrogie potęgi. Z jednej strony zebrały się hufce Zakonu niemieckiego, będącego przedstawicielem posuwającej się coraz bardziej ku wschodowi nawały germańskiej, dążącej do zniszczenia wszystkiego, co tylko trąci Słowiańszczyzną. Z drugiej stanęły zastępy polskie, posiłkowane przez sprzymierzoną Litwę i Ruś. Zawrzała walka na śmierć i życie, oręż polski okrył się świetnym tryumfem, którego nam nawet wrogowie nie mogą zaprzeczyć, choć przekręcają fakty historyczne według swojej potrzeby i chwilowego widzimisię. Słowiańskie rycerstwo skruszyło potęgę Zakonu, z którego szczątków powstało dzisiejsze państwo prnskie, prowadzące dalej politykę eksterminacyjną w myśl zasad i ideałów z przed pięciu wieków. W miarę naporu z jednej strony, wzmagała się i odporność z drugiej, wzdłuż naszych kresów zachodnich trwała ta walka wieki i trwać będzie dalej, dopóki jedna ze stron wojujących nie ulegnie. Dziś zamiast walczyć na miecze, ścieramy się na polu kulturalnem i ekonomicznem, a walka ta jest równie zacięta, jak były poprzednie, gdy przodkowie nasi stawali mężnie z orężem w ręku w celu obrony zagrożonych granic.

Dumne Prusactwo widzi, że nie podoła już Słowianom, w których wzmogła się samowiedza narodowa, używa też wszelkich możliwych środków, aby ich ujarzmić i upokorzyć, czego jednak nie dokonano orężnie pod Grunwaldem, tego i teraz nie dokaże się nigdy.

Obchód więc rocznicy grunwaldzkiej jest dla nas wielkiem świętem narodowem, a takiem samem powinien być dla całej Słowiańszczyzny, przypomina nam bowiem zwycięstwo nad przemocą germańską a zarazem ma dodać siły i zachęcić do walki na przyszłość. To też, jak z jednej strony nie szczędzono zapału i pracy, aby uroczystość wypadła jak najświetniej, tak znów z drugiej nie zapomniano o niczem, aby tylko przeszkodzić lub bodaj zmniejszyć blask, który powinien opromienić tę podniosłą chwilę. Przemawiano do nas w najrozmaitszy sposób; najpierw grożono, że obrażamy tem Niemców i zgotujemy naszym braciom los jeszcze sroższy, zmieniono wreszcie ton i zaczęto przemawiać do naszej rycerskości, twierdząc, że nie godzi się uroczyście święcić pamiątki, która może być przykrem wspomnieniem dla pokonanego wówczas wroga.

I jedno i drugie nie pomogło, chwycono się więc innych środków. Rozpoczęto straszyć cholerą, tyfusem i innemi epidemiami, zagranicznej prasie dopomagali niestety i niektórzy krótkowidzący nasi politycy, którzy upatrywali w obchodzie klęskę narodową, nie chcę ich bowiem posądzać o złą wolę, że wiedzieli o tem, iż jest inaczej, a działali tylko dla obcych interesów, chociaż niestety i takich, jak gdzieindziej tak i u nas, nigdy nie brakuje. Zaczęto używać różnych środków i środeczków, wytoczono różne działa archeologiczne i konserwatorskie, stoczono walną bitwę o panoramę w Rondlu, proszono Opatrzność o ulewy i gradobicia, byle przecież obchodowi przeszkodzić, niestety, nie zdało się to na nic! Gasiciele ducha ponieśli gruntowną porażkę, niczem klęska Krzyżaków pod Grunwaldem.

Do podniesienia świetności narodowego święta przyczynił się nadto wielkoduszny mistrz tonów, Paderewski, ofiarowaniem pomnika Jagiełły. Podziękować za dobre chęci i nie przyjąć nie wypadało, byłoby to wywołało łatwo zrozumiałe ogólne oburzenie.

I tak, choć powoli, ale systematycznie i z przeświadczeniem o jego znaczeniu, przygotowano obchód, na który zjeżdżają bracia nasi ze wszystkich stron, nawet z za Oceanu, zdając sobie sprawę z tego, że ma to być manifestacya w całem tego słowa znaczeniu narodowa, nie jakieś szowinistyczne naigrawanie się z pokonanego wroga, ale przegląd naszych sił i zachęta do dalszej z nim walki. Wróg nas zresztą nie oszczędza, na każdym kroku daje nam poznać, że teraz skazani jesteśmy na jego łaskę i niełaskę, więc też i my nie mamy potrzeby poczuwać się do jakiejś wobec niego galanteryi rycerskiej. Z Poznańskiego i dziś dochodzą nas wieści o strasznym ucisku, na jaki narażeni są nasi bracia, których los niczem nie różni się od losu nieszczęśliwych Prusaków i Litwinów z przed lat pięciuset, z tą jednak różnicą, że my dziś moglibyśmy wymagać innego traktowania w imię zasad ludzkości i europejskiej cywilizacyi, którą oni tak chełpią się przed całym światem, zowiąc się buńczucznie: państwem bojaźni bożej i dobrych obyczajów, czemu jednak postępowaniem swem zadają kłam na każdym kroku.

Wszak i dzisiaj odzywają się odosobione głosy, nawołujące, aby dać odczuć Polakom rocznicę Grunwaldu, a najcharakterystyczniejszym z nich jest wystąpienie profesora Langhausa z Gothy, żądającego od pruskiego ministra spraw wewnętrznych, aby celem pomszczenia się na Polakach, w dniu 15 lipca wprowadzono w czyn ustawę o wywłaszczeniu, opublikowano projekt nowej ustawy parcelacyjnej dla dzielnic wschodnich, oraz urządzono po szkołach wykłady, przedstawiające przebieg bitwy grunwaldzkiej w świetle historycznem, naturalnie według zrozumienia pruskiego. Jak zaś wygląda tam owa prawda historyczna, o tem niema dwu zdań.

My jednak, nie reagując na prowokacye niemieckie, raczej pruskie, święcić będziemy obchód narodowy z całą powagą i uroczystością, aby nie dać powodu wrogom do wytykania nas palcami, że nie jesteśmy narodem kulturalnym; nie pozwolimy jednak, aby to święto narodowe przeszło bez poważnych następstw, a jednem z nich ma być przedewszystkiem zobowiązanie się, że będziemy bojkotować przemysł pruski i to nie słowem, lecz czynem, bo to najskuteczniejszy sposób walki z naszym odwiecznym wrogiem. Musimy się nadto starać o postępy na polu kulturalnem, aby nie pozostać za nimi w tyle, a co najważniejsza nauczyć się solidarności narodowej, w której oni celują, gdyż tylko wówczas, jeśli pracować będziemy zgodnie, możemy się spodziewać, że wreszcie odniesiemy nad nimi tryumf, a tego oni właśnie się boją i dlatego sieją ziarno niezgody, tak pomiędzy poszczególnymi szczepami słowiańskimi, jak i w łonie każdego z nich z osobna.

Jeśli w dniu Grunwaldu poweźmiemy takie postanowienie i przeprowadzimy je konsekwentnie, cel uroczystości nie będzie chybiony, ma ona dla nas bowiem mieć korzyść moralną, ma nas podnieść na duchu i zachęcić do dalszej pracy nad narodowem odrodzeniem, gdyż tylko w tym wypadku możemy się spodziewać, że oprzemy się owej nawale germańskiej, która bije w nas od zachodu. Jako ich bezpośredni sąsiedzi narażeni jesteśmy na tem większe niebezpieczeństwo, więc też lekceważyć go sobie nie możemy, zwłaszcza że i oni z całą energią zabierają się do dzieła. Jako wynik ich posiewu uważać można zaostrzenie się sporu polsko-ukraińskiego właśnie w czasie obchodu Grunwaldu, byłoby im bowiem bardzo na rękę, gdyby za cudzem pośrednictwem udało się nas sprowokować. Dzięki Bogu posiadamy jednak dość politycznej dojrzałości, aby się nie dać unieść nadmiernemu zapałowi. W ten sposób wytłómaczyć sobie można tu i ówdzie w Galicyi wschodniej pojawiające się porywy, by wywołaniem awantur zmniejszyć podniosły nastrój chwili, mamy jednak nadzieję, że sami Ukraińcy poznają z czasem, jak śliską jest droga, na którą weszli nieopatrznie dzięki swemu zaślepieniu.

Na Grunwald mogą nie przyjeżdżać, jeśli nie mają ochoty, nie wolno im jednak przeszkadzać nam w urządzaniu narodowego obchodu tak samo, jak i my, choć wedle ich zdania tak uprzywilejowani, przeszkód im żadnych w podobnych okolicznościach nie czynimy.

Źle także świadczą o socyalistach, rzekomo polskich, gdyż tak się chętnie nazywają, choć inaczej czynią, wzmianki coraz częstsze, że na czas obchodu przygotowuje się strajk kucharzy i kelnerów, a wiadomo, że prawie wszystkie organizacye pozostają pod ich pośrednim lub bezpośrednim wpływem. Mówiono przed miesiącem, że o tem samem myśli i czeladź piekarska, aby tem pewniej zmusić swych majstrów do ustępstw; na razie jednak o tem cicho, więc nie wywołujmy wilka z lasu! Jeśli panowie socyaliści są rzeczywiście partyą polską, powinni swym wpływem strajkowi zapobiedz, bo chyba nie będzie im przyjemnie, gdy w razie choćby drobnego dyssonansu szydzić z nas będą Niemcy, że nie doroślismy jeszcze do ich poziomu, a nikt nie wątpi, iż postarają się, aby mieć jak najdokładniejsze sprawozdanie z przebiegu całego obchodu. Mogą im być w tem pomocni i owi konfidenci, których wedle rewelacyi Rakowskiego, kręci się także mnóstwo po Galicyi.

Także młodzież nasza w tym uroczystym momencie powinna pohamować swój zapał i nie dopuścić się przypadkiem jakiego wybryku, który mógłby uroczystości odebrać bodaj część blasku, bo i z tego skorzysta wroga nam prasa zagraniczna. Borby i awantury nie mogą i nie powinny zakłócać powagi chwili; osobnikom nielubianym można w inny sposób i przy innej sposobności dać odczuć niewłaściwość ich postępowania.

Napiętnować także należy przykry objaw, jaki skonstatować można z okazyi obchodu grunwaldzkiego. Zaznaczyłem wyżej, że powinien on mieć dla nas moralne znaczenie, nigdy zaś nie powinno się było myśleć o wyciągnięciu zeń materyalnej korzyści, owszem całe społeczeństwo miało obowiązek okazania najdalej idącej ofiarności. Tymczasem znalazło się dość sporo różnych osobników, które postanowiły zrobić dobry interes na Grunwaldzie. Opowiadają mi właśnie o pewnej znanej matronie, która uniesiona miłością społeczeństwa, w miarę możności postanowiła przyczynić się do uświetnienia uroczystości i dopomożenia komitetowi, wstawiła więc do pustego pokoju cztery łóżka i wynajmuje je za bagatelkę... dziesięć koronek za noc. Pomysłowa babina! Bez trudu i kłopotu pokoik przyniesie jej czterdzieści koron dziennie, co gdy powtórzy się przez kilka dni, będzie po obchodzie mogła wyjechać na wakacye choćby do jakichś pruskich badów, aby Niemcom oddać to, co zdobyła na Grunwaldzie. Także nie są rzadkością dorożkarze, którzy obcym każą sobie płacić bajońskie sumy. Im nie dziwię się wcale, przejęci są bowiem „wielkością“ Krakowa i każdy kurs wydaje im się dłuższym, niż jest w rzeczywistości.

W organiczną całość z właściwym obchodem grunwaldzkim łączy się zlot Sokolstwa polskiego, Zjazd Towarzystwa Szkoły ludowej, Ligi przemysłowej i pięćsetlecie istnienia kongregacyi kupieckiej. Zjazd na te wszystkie uroczystości zapowiada się nader liczny, oby tylko pogoda, która przecież nie zawisła od wpływów pruskich, na ten czas dopisała. Kto wie jednak, czy i tam nie mają już Niemcy swych anti-grunwaldzko usposobionych popleczników.

Odważniejsi, którym cierpnie skóra na samo brzmienie wyrazu: rewolucya! przycupnęli w kącie, jak trusie, w myśli bowiem widzą już zastępy sokole, przekraczające pod Oświęcimiem granicę i maszerujące wprost na Berlin. Niech jednak wstąpi w ich serca otucha, tak źle nie będzie. Ani zlot Sokolstwa polskiego, ani jubileusz kongregacyi kupieckiej nie wpłyną absolutnie na równowagę polityczną Europy.

Znakomitem *pendant* do pogromu krzyżackiego pod Grunwaldem jest klęska, jaką krakowscy demokraci z pod sztandaru *Nowej Reformy* ponieśli w czasie wyboru prezydenta. Widomą głową demokracyi jest, jak wiadomo, pan Doboszyński, niegdyś pan krociowy, właściciel „Reformy“ i wiecznie przepadający przy wyborach kandydat. Temu on nie winien, takiego ma już pecha! Otóż ów pan Doboszyński przyszedł do przekonania, że jedno miejsce w prezydyum należy się stanowczo demokratom, a rzecz prosta, że miał wówczas siebie na myśli. W myśl instrukcyi, podczas wyboru prezydenta panowie demokraci jak jeden mąż oddali białe kartki, a prezydent Leo, choć otrzymał wymaganą większość, zrezygnował z godności, motywując to tem, że trudno przewodniczyć Radzie, gdy nie może liczyć na jej ogólne poparcie, a wynik głosowania jest dlań poniekąd votum nieufności.

Teraz dopiero przekonali się demokraci, że palnęli głupstwo i nuż przekonywać na szpaltach swego organu, że oni przeciwko prezydentowi Leowi nic nie mają, popierali go zawsze i popierać będą nadal, niech jeno nie rezygnuje, bo któż mógłby po nim objąć agendy? Echo powinno było odpowiedzieć: pan Doboszyński! On jednak widocznie nie czuł się na siłach do przyjęcia tej godności, bo obrazowo powiedziawszy, zwinął chorągiewkę, czyli poszedł do Canossy! Co innego być wiceprezydentem, to właściwie tylko zaszczyt, co innego zaś prezydentem!

X.

W przededniu uroczystego obchodu.

Uroczystości ku uczczeniu pięćsetnej rocznicy wiekopomnego zwycięstwa pod Grunwaldem, obejmą pełne trzy dni bieżącego tygodnia, t. j. piątek, sobotę i niedzielę. Z programu, ułożonego przez krajowy komitet obchodu, z zapowiedzi współuczestnictwa rodaków ze wszystkich dzielnic Polski, z przeprowadzonej już częściowo dekoracyi miasta, wnosić można śmiało, że uroczystości grunwaldzkie w Krakowie będą wspaniałą, imponującą manifestacyą najświętszych uczuć patryotycznych całego społeczeństwa polskiego, że będą godnem uczczeniem wielkiej pamiątki narodowej.



Antoni Wiwulski, artysta-rzeźbiarz i twórca pomnika Jagiełły w Krakowie.



Fundator pomnika, mistrz Ignacy Paderewski.

Kulminacyjnym punktem całego obchodu będzie ponad wszelką wątpliwość odsłonięcie pomnika Jagiełły, królewskiego daru znakomitego polskiego muzyka J. Paderewskiego, a pracy młodego, wielce utalentowanego artysty-rzeźbiarza Antoniego Wiwulskiego.

Jak wiadomo, pod koniec ubiegłego roku zawiadomił mistrz Paderewski radę miasta Krakowa, iż chcąc przyczynić się do uświetnienia obchodu grunwaldzkiego, ofiarowuje miastu pomnik Jagiełły, którego wykonanie powierzył artyście-rzeźbiarzowi Wiwulskiemu. Wspaniały, prawdziwie królewski dar artysty-obywatela i patryoty przyjęło miasto, a z niem całe społeczeństwo z szczerą, niekłamaną wdzięcznością. Jak zaś odsłonięcie pomnika będzie najwspanialszym punktem uroczystości, tak sam pomnik będzie przepiękną ozdobą miasta.

Przygotowania do odsłonięcia pomnika są już na ukończeniu. Pracami około ustawienia pomnika kierował architekt dr. Jan Zubrzycki, przy współudziale ks. kanonika Juliusza Drohojowskiego; uprosił ich ku temu fundator.

Przygotowaniem całego obchodu zajmował się krajowy komitet grunwadzki, z którego łona wybrano komitet wykonawczy; na członkach komitetu wykonawczego spoczął też cały ciężar prac przygotowawczych.



Architekt dr. Jan Sas Zubrzycki.

W skład komitetu wykonawczego wchodzili: prezydent miasta Krakowa dr. Juliusz Leo jako przewodniczący, oraz pp. radca miejski Kosobucki, mecenas dr. Rowiński, prezes dr. Schneider, prezes inż. Turski, radca miejski dr. Wasung i redaktor Wł. Wąsowicz.

Wobec ogromu zadań, jakie spadły na ów komitet, jak przeprowadzenie ogromnego programu, zajęcie się rozkwaterowaniem i przyjęciem tysięcy oczekiwanych w Krakowie gości i t. d., należy się mu szczere uznanie i wdzięczność.

Ruch w Krakowie panuje od kilku dni bardzo żywy, wiele osób bowiem przybyło tu już przed rozpoczęciem uroczystości. Zwłaszcza z dalszych stron oraz ci, którzy Krakowa dotąd nie znali, zjawili się wcześniej, aby zwiedzić przedtem licznie tu nagromadzone pamiątki narodowe. Ponadto zapowiedziano na „tydzień grunwaldzki" mnóstwo zjazdów, których szereg rozpoczął zjazd delegatów Ligi pomocy przemysłowej w ubiegły wtorek.

Poprzedziło uroczystości otwarcie dioramy grunwaldzkiej, dzieła artystów-malarzy Tadeusza Popiela i Zygmunta Rozwadowskiego, o której w poprzednim numerze zamieściliśmy wzmiankę. Dziś uzupełniamy ją zdjęciem budynku, mieszczącego dioramę, a wzniesionego przy pl. św. Ducha, obok teatru, wedle projektu architekta Flachny, przez znaną firmę ciesielską B. Zielińskiego. Piękny, choć zupełnie pojedynczy budynek zdobią zewnątrz herby ziem i województw polskich oraz flagi o barwach narodowych.

Do uświetnienia uroczystości grunwaldzkich w Krakowie przyczyni się w ogromnej mierze zlot Sokolstwa polskiego. Zlot obejmie dwa dni uroczystości t. j. sobotę i niedzielę. Zapowiedziane jako najważniejszy punkt programu zlotu ćwiczenia gimnastyczne na boisku, budzą ogromne zainteresowanie.

Z innych punktów programu uroczystości grunwaldzkich wspomnieć należy o otwarciu wystawy pamiątek z epoki Jagiellońskiej w pałacu sztuki przy pl. Szczepańskim, dalej uroczysty pochód w niedzielę z pod gmachu „Sokoła" na Wawel, wreszcie raut w salach starego teatru, dany na cześć gości przez radę miasta Krakowa. Wspomnieć jeszcze należy, że w teatrze miejskim i w obu budynkach teatru ludowego, przy ul. Rajskiej i w Parku krakowskim, odbędzie się szereg uroczystych przedstawień, na które złożą się wyłącznie sztuki patryotyczne.

* * *

Poświęcając dzisiejszy numer „Nowości illustrowanych" prawie wyłącznie wiekopomnej rocznicy zwycięstwa grunwaldzkiego, zamieszczamy szereg zdjęć pamiątek, odnoszących się do owej świetnej epoki naszych dziejów. Jest więc portret Jagiełły i jego świątobliwej małżonki królowej Jadwigi, są



Budynek przy placu św. Ducha, mieszczący dioramę grunwaldzką.

sarkofagi ich obojga oraz króla Kazimierza Wielkiego, dalej portret ks. prałata dra Czesława Wądolnego, który jako kustosz katedry na Wawelu ma pod swą opieką wszystkie nagromadzone tam pamiątki i z wielką pieczołowitością nad niemi czuwa.

Zamieszczamy dalej w tym numerze szereg zdjęć z okolicy Grunwaldu i Tannenbergu, z miejsc, gdzie rozgrywała się owa wielka bitwa, oraz reprodukcyę słynnego obrazu Matejki, przedstawiającego bitwę pod Grunwaldem.

Nowy przeor na Jasnej Górze.

Każdemu ze zwiedzających klasztor jasnogórski głęboko wbiła się w pamięć sympatyczna postać generała i przeora tamtejszych Paulinów, ks. Euzebiusza Rejmana, pod którego rządami częstochowski zakon doszedł do pierwotnej swej powagi i świetności. W bieżącym miesiącu odbyła się kapituła zakonu, na której w miejsce dotychczasowego, wybrano przeorem ks. Welońskiego.

Ustępujący w stan spoczynku ks. Euzebiusz Rejman pochodzi z Wielunia, gdzie urodził się w r. 1856. Do klasztoru wstąpił w r. 1880, kształcił się w seminaryum we Włocławku, święcenia kapłańskie otrzymał w r. 1885, przeorem jasnogórskim wybrano go po raz pierwszy w r. 1894.

gotowano już plany odnowienią wnętrza klasztoru, a dzieło to byłby niezawodnie doprowadził tak rychło do skutku, jak wszystkie inne przedsięwzięcia, które przyczyniły się do podniesienia i upiększenia tak umiłowanego przezeń miejsca. Pod tym względem ustępujący przeor był działaczem niezrównanym, pełnym inicyatywy i niestrudzonej zapobiegliwości, przy wybitnych zdolnościach organizacyjno-gospodarczych. Był też ks. Rejman nieocenioną siłą reprezentacyjną, utrzymującą, jak nikt inny, kontakt ze światem zewnętrznym, wśród którego cieszył się

Komitet grunwaldzki.



Prezes krajowego Związku turystycznego, dr. Ludwik Schneider.



Prezydent miasta Krakowa dr. Juliusz Leo, przewodniczący komitetu obchodu grunwaldzkiego.



Radca miejski prof. dr. Władysław Wasung.

Zasługi ks. Rejmana są wielkie. Na życzenie ś. p. ks. biskupa Bereśniewicza sprowadził on na Jasną Górę surową regułę zakonną, zaniedbaną od czasu kasacyi klasztorów. Wyjednał także usunięcie wojska z klasztoru, powiększył liczbę zakonników z 24 na 50, utworzył nowicyat, odrestaurował gruntownie wały, otaczające klasztor, odnowił klasztor z zewnątrz, wzniósł szereg nowych budynków i zbudował nową wieżę murowaną po spaleniu się starej drewnianej.

Za staraniem ks. Rejmana otrzymał klasztor częstochowski dwanaście wspaniałych stacyi męki Pańskiej, dzieło Piusa Welońskiego, prócz tego przytak powszechną sympatyą. Umiał ją też wyzyskać dla celów świątyni jasnogórskiej, o której dobro i świetność dbał całą duszą. Przed trzema laty wybrano ks. Rejmana ponownie przeorem na lat trzy. W bieżącym roku skończyła się jego kadencya, na zasadzie więc przepisów klasztornych dokonano nowych wyborów.

Nowowybrany przeor, ks. Weloński, jest bratem rodzonym znakomitego artysty rzeźbiarza. Urodzony w r. 1831 był początkowo księdzem świeckim, do klasztoru Paulinów wstąpił w r. 1904.

Jako uzupełnienie artykułu podajemy portrety nowowybranego i ustępującego przeora.

Pięćsetlecie krakowskiej kongregacyi kupieckiej.

W przeddzień uroczystości grunwaldzkich w Krakowie, w czwartek bieżącego tygodnia, święcić będzie krakowska kongregacya kupiecka jubileusz pięćsetlecia swojego istnienia.

Jubileusz kongregacyi kupieckiej będzie wielkiem świętem całego kupiectwa polskiego, którego najświetniejszych tradycyi przedstawicielką jest właśnie krakowska kongregacya. Ma zaś kupiectwo polskie tradycye prawdziwie piękne i zaszczytne.

Handel polski zmienne w ciągu wieków przechodził koleje. Rozwijał się bardzo powoli, gdyż szlachta, która decydującą w państwie odgrywała rolę, gardziła *łokciem i miarką*, ceniąc tylko rycerskie rzemiosło. Stan kupiecki, jak i cały prawie stan mieszczański, rekrutował się też w Polsce przeważnie z pośród ludności napływowej, niemieckiej. Z biegiem lat jednak mieszczanie nietylko się asymilowali, ale stawali się bardzo gorliwymi patryotami. Dzieje polskie notują długi szereg nazwisk wybitnych mieszczan, przeważnie kupców już to w Krakowie, już to we Lwowie i Warszawie, których patryotyzm i miłość Ojczyzny mógł być wzorem i pięknym przykładem dla innych stanów.



Radca miejski Piotr Kosobucki.



Radca miejski inż. Władysław Turski, prezes „Sokoła".



Adwokat dr. Stanisław Rowiński.



Redaktor Władysław Wąsowicz.

Mimo niekorzystnych pod wielu względami warunków, miało kupiectwo polskie swoje świetne czasy, czasy wpaniałego rozkwitu; tych to czasów, najświetniejszych może w dziejach kupiectwa i mieszczaństwa polskiego, sięgą początek kongregacyi krakowskiej, pierwszej na ziemiach Polski.

Założona 1410 r., zamarła następnie w latach wewnętrznego rozkładu i upadku Polski, a odżyła

znowu za panowania króla Augusta II, by łącząc kupców dla obrony ich bytu w ciężkich czasach, wieść ich ku lepszej przyszłości. Najświetniejszą kartę w dziejach jej działalności stanowi ten okres, gdy w krakowskiej rzeczypospolitej oddano jej ster w sprawach handlu. Późniejsze rządy odebrały jej dawne znaczenie i władzę, kongregacya żyła jednak i żyje dotąd, działając dla dobra kupiectwa, dla dobra kraju i społeczeństwa.

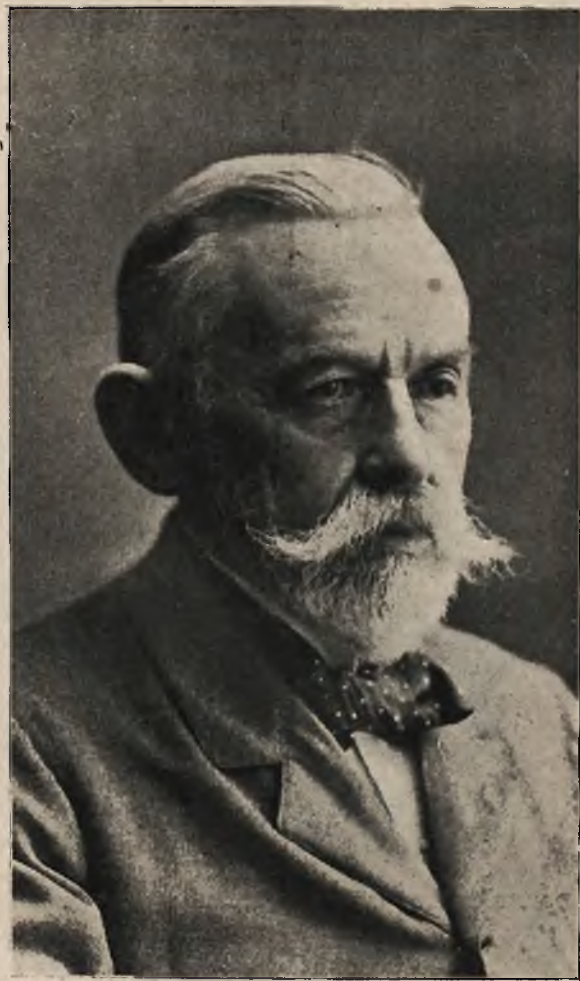
Stała też zawsze na straży polskości kupiectwa, na straży godności stanu i broniła dzielnie i energicznie interesów tego stanu. Kupiectwo zawdzięcza jej bardzo wiele.

A święto jej jubileuszu da sposobność nietylko członkom instytucyi ale i najszerszym warstwom społeczeństwa do uczczenia jej wybitnych zasług.

Z okazji jubileuszu zamieszczamy w dzisiejszym numerze portrety: starszego kongregacyi r. m. Henryka Schwarza, podstarszego, wiceprezydenta m. Krakowa, dr. Henryka Szarskiego i skarbnika, r. m. Wiktora Suskiego.



Pięćsetlecie krakowskiej kongregacyi kupieckiej: Podstarszy kongregacyi kupieckiej i wiceprezydent miasta Krakowa dr. Henryk Szarski.



Fot. Kuczyński i Gürtler, Kraków.
Pięćsetlecie krakowskiej kongregacyi kupieckiej: Starszy kongregacyi, radca miasta Henryk Schwarz.



Pięćsetlecie krakowskiej kongregacyi kupieckiej: Skarbnik radca miasta Wiktor Suski.

Piękny zabytek architektoniczny.

W wielu domach krakowskich, pochodzących z dawnych czasów, mieszczą się po dziś dzień, nieraz ukryte, prawdziwe skarby sztuki architektonicznej. Od czasu do czasu udaje się przy sposobności restaurowania takiego domu odkryć te piękności i przywrócić bądź całym budynkom bądź ich fragmentom dawny wygląd.

Swieżo udało się przywrócić do dawnego stanu t. zw. salę hetmańską, w domu pod l. 17 w Rynku głównym. Jest to sala parterowa, przepięknie a ogromnie oryginalnie sklepiona, z żebrami i kluczami rzeźbionymi, na jednym z których znajduje się podobizna króla Kazimierza Wielkiego, doskonale zachowana. Sklepienie tej sali pochodzi z pierwszej połowy XIV. w.

Salę hetmańską odnowiono i pomalowano obecnie kosztem Banku żywnosteńskiego (przemysłowego), który tam mieści swoje biura.

Pracami architektonicznemi i wzorową restauracyą wnętrza kierował architekt radca Stryjeński, dekoracyę zaś architektoniczną wnętrza, urządzenie sali na kantor, meble i całą piękną, wspaniałą dekoracyę wystawy projektował architekt Fr. Mączyński. Malarską dekoracyę projektował artysta-malarz Karol Maszkowski, którego ostatnie prace: dekoracya kaplicy XX. Czartoryskich na Wawelu, polichromia kościołów w Pilźnie i Lipowej, zdobyły ogólne uznanie. Tutaj miał artysta trudne zadanie do rozwiązania, bo szło o to, by charakter stylowego gotyckiego zabytku pogodzić z charakterem sali, mającej służyć do świeckiego użytku, jakim jest Bank, następnie szło o to, by przez ciemne barwy i mnogość ornamentu nie stworzyć czegoś, coby przypominało kościół, kruchtę kościelną.

Zdając sobie z tego sprawę, artysta pokrył ściany, kapy sklepienne i żebra trzema jasnymi, ciepłymi tonami, uwydatniając piękność żeber skromnym ornamentem, również o trzech tylko barwach i podkreślając prześliczną, pełną energii piękność zworników ciemno-czerwonym tonem kluczów sklepiennych. Wprowadzenie wielkiej ilości złota zakończa całą tę skromną a pełną stylu dekoracyę. W ten sposób powstało w Krakowie dobre rozwiązanie dekoracyjne, będące w zgodzie z dzisiejszem przeznaczeniem budynku, a nie psujące wartości historycznej i stylowej zabytku.

O przepięknej „sali hetmańskiej“, o jej ornamentyce i stylu pisano już dużo w fachowych pismach polskich. Są w tem mianowicie prace śp. prof. Piekosińskiego, Wł. Łuszczkiewicza i dyr. F. Kopery.

Katastrofa budowlana w Nowym Sączu.

Stosunki w przemyśle budowlanym w kraju naszym są fatalne i to zarówno w miastach stołecznych, jak na prowincyi. Dzienniki krajowe pro-



Nowy przeor na Jasnej Górze: Ustępujący przeor O. Euzebiusz Rejman.



Piękny zabytek architektoniczny: Sklepienie w tak zwanej „sali hetmańskiej“, gdzie mieścić się będzie kantor Żywnosteńska Banka.

wadzą niemal stałą rubrykę kronikarską, notującą coraz to nowe wypadki i katastrofy budowlane. Miał takich katastrof sporo Kraków, miał je Lwów, miał Przemyśl. a obecnie w rzędzie sławnych pod tym względem miast stanął Nowy Sącz. W ubiegłym tygodniu zawaliła się tam w pobliżu rynku dwupiętrowa kamienica, jeszcze nie ukończona.

Co do przyczyn katastrofy, podają dwie wersye. Wedle jednej trawersy były zbyt powierzchownie wpuszczone w cienki mur i pod ciężarem runęły, wedle drugiej materyały, użyte przy budowie, były zepsute.

Kamienica zawaliła się w godzinie południowej, w czasie roboty. Runęły ściany wewnętrzne obu pięter, grzebiąc pod gruzami wielu robotników. Z tych dwóch dobyto zabitych, jednego dogorywającego, który też w drodze do szpitala umarł, jedenastu ciężko rannych a trzech lżej. Katastrofa więc pociągnęła za sobą bardzo wiele ofiar.



Nowy przeor na Jasnej Górze: Nowy przeor O. Wełoński.

Należy się spodziewać, iż władze odnośne ukarzą surowo winnych i że ostatnia ta katastrofa będzie przestrogą i dla przedsiębiorców i dla urzędów budowniczych miejskich, by skrupulatniej przestrzegały przepisów ustawy budowlanej i kontrolowały sumiennie nowe budowle.

Wydawnictwo grunwaldzkie.

Hołd Grunwaldowi. Album pamiątkowe, zebrane staraniem „Straży polskiej“ poo Redakcyą Kazimierza Bartoszewicza. Kraków, 1910. Nakład Fr. Terakowskiego i Spółki. Główny skład w księgarni G. Gebethnera i Sp. i u nakładcy przy ul. Mikołajskiej l. 13.



Katastrofa budowłana w Nowym Sączu: Budująca się kamienica, której część zawaliła się. (Fot. Skorupka).

Nader wykwintnie wydane **Album** ma charakter księgi zaznamiającej przedewszystkiem Czytelników z najwybitniejszymi opisami „wielkiej wojny“, z odgłosem jej w zabytkach literackich i poezyi, wreszcie z charakterystyką obu wielkich twórców Grunwaldu: Jagiełły i Witolda. Mając na uwadze, że nie byłoby Grunwaldu i jego następstw, uświęconych ostatecznie Unią lubelską, gdyby nie olbrzymia ofiara serca, złożona przez Jadwigę na ołtarzu Polski, poświęciła Redakcya osobny rozdział cnotom i zasługom tej wielkiej narodowej postaci. Wstępem do tak pomyślanej księgi są artykuły wybitnych pisarzy, tłumaczące wiernie znaczenie obchodu pięćsetlecia Grunwaldu i uczucia, jakie w nas budzi ta wielka rocznica. Na część artystyczną składają się przeważnie ryciny rzadkie, między któremi są i nigdzie dotychczas nie reprodukowane.

Zamieszczone w dzisiejszym numerze ryciny pektorału W. Mistrza i potret Jadwigi, pochodzą z tego właśnie wydawnictwa. —

Zewnętrznie przedstawia się **Album** bardzo okazale, do całości dostraja się stylowa okładka. Wogóle wydanie nie ustępuje niczem zagranicznym i chlubnie świadczy o staraniach Redakcyi, wydawcy i przemysłu krajowego.

Nie wątpimy, że każdy z uczestników obchodu zaopatrzy się w **Album pamiątkowe**, które na długie lata stanowić dlań będzie piękną pamiątkę tej podniosłej uroczystości.

Głosy publiczne.

Wzloty słynnego francuskiego awiatora Blériota na własnym aeroplanie, oraz balonu do kierowania „Estanie I“ wykonane niedawno w Wiedniu, w obecności Cesarza, Arcyksiążąt i trzykroćstotysięcznej publiczności, będą tylko przez kilka dni do zobaczenia w „Chromofotoskopie“ ul. Floryańska L. 4. (parter) **Filia „Stereoglob“ ul. Szewska L. 15. (parter)** wystawia słynne na cały świat **Kopalnie soli w Wieliczce i Groty w Postojnie (Adelsberskie groty).** Zbytecznem nadmieniać, że obydwie serye są nader interesujące a Zarządowi należy się uznanie, że na czas zjazdu zdobył te doskonałe reprodukcye.

W widokach grot postojeńskich znajduje się niedawno odkryta nowa grota boczna mająca 1680 metrów długości. Zawiera tak ona jakoteż i inne przepiękne stalaktyty i stalagmuty i ma wiele odgałęzień niezwykłej piękności.

Tak „Chromofotoskop“ jakoteż i filia „Stereoglob“ ofiarują 25% od uzyskanych wstępów w dnie 15, 16 i 17-go lipca b. r. na „Dar Grunwaldzki“.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 27.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: J. Lipski Kraków, H. Potocka Kraków, H. Ogibiński Stanisławów, J. Knapik Lwów, M. Lechowska Sanok, J. Wyka Rzeszów, K. Zachara Sandomierz, W. Link Wiedeń, J. Gryziecka Przemyśl, S. Radomska Jarosław, K. Goliński Jaworów, W. Wiewiórska Warszawa, M. Więckowska Warszawa, W. Ossowski Warszawa, A. Biliński Tarnopol, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, J. Pick Łódź, K. Radoszewski Rozwadów, O. Górkowa Chyrów, M. Łopatkiewicz Lwów, W. Ostrowski Sandomierz, K. Kwaśniewski Kraków, J. Bandrowski Żytomierz, M. Kulinowska Jasło, J. Moszczyński Radłów, J. Czarkowski Kołomyja, H. Ohrenstein Podgórze, K. Klappholz Łańcut, K. Armatys Jodłów, M. Jasińska Ostrów, J. Ważyński Rawa, S. Rogoziński Lwów, H. Raczyński Sanok, M. Dorożyńska Przemyśl, L. Lindenbaum Jasło, B. Liskowacki Kraków, J. Cieplik Lwów, S. Krzyżanowski Podgórze, A. Gralewski Kraków, F. Schmidt Kraków, M. Mrozowicz Bochnia, K. Arciszewski Lwów, H. Kubik Jarosław, J. Orlecki Zakopane, M. Brzostowska Brzeżany, W. Mróz Stanisławów, R. Gromnicki Radomyśl, K. Orosz Warszawa, J. Abt Płock, W. Thun Łódź, K. Wierzejski Kraków, M. Korczyńska Kamieniec, W. Sapecki Jodłów, M. Kamocka Radziwiłłów, J. Lesiński Kraków, H. Lasocińska Rzeszów, T. Cichocki Lwów, R. Lichański Jasło, H. Kruszelnicka Kraków, B. Ciszewski Lwów, J. Tuch Solec, H. Broniowska Częstochowa, R. Ścibora Kraków, J. Dobija Bielsk, K. Jahoda Przemyśl, A. Trzeciak Kraków, F. Boczarski Kraków, M. Krawecka Brzesko, J. Kukurudza Sanok, H. Dręgiewicz Podwłoczyska, J. Piątek Złoczów, M. Gawrońska Stanisławów, H. Krell Złoczów, G. Gleitzmann Janów, R. Wang Lwów. J. Engelberg Rzeszów, J. Badura Rożdzień, S. Kowalówka Kraków, H. Zegartowska Bogucice, W. Kowalówka Kraków, K. Zegartowska Bogucicie, J. Jaworski Bogucice, K. Kaim Kraków, A. Żelechowski Warszawa, K. Fuchs Czeremchów, W. Strzechowska Suszyna Wielka, M. Sabatowicz Kraków. W. Lewicka Czarna.

Łamigłówka: Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie.

Zadanie do przestawienia: Nie kupuj kota w miechu.

Rebus: Podanie mówi, że łza ptaka skamieniała staje się bursztynem.

Zadanie literackie:

Eros i Psyhe
Mechesy
Infantka
Za chlebem
Otchłań
Lalka
Argonauci

Szarada: Maskarada.

Trójkąt magiczny:

K a r o l G o l d m a r k
A n t a n a n a r i v a
R a d z i w i ł ł ó w
O r z e s z k o w a
L w i e s e r c e
G r z y w a c z
O l i m p i a
L i s z k a
D u r e ń
M i ł o
A l t
R a
K

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. K. Radoszewski Rozwadów. Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta polecenej przesyłki.

Szkoła inżynierska we Frankenhausen n. Kyffh., wyższy techniczny zakład naukowy z oddziałami budowy maszyn, elektrotechniki, maszyn gospodarskich, konstrukcyi żelaznych i budowy mostów, otwiera 18 października półrocze zimowe, we wszystkich oddziałach inżynieryi. Wykłady z zakresu techniki lotnictwa doznają stale rozszerzenia. Wielkie zakłady próbne i laboratorya będą znowu, jak przedtem, używane przy wykładach dla rolników o technicznych maszynach, także ze strony król pruskiego ministerstwa. Programy sprowadzać można ze „Sekretaryatu“ zakładu.

Do wydawnictw grunwaldzkich.

Wawel, przeszłości skarbnica, siedziba Piastów i Jagiellonów, według oryginałów Stanisława Tondosa i Wojciecha Kossaka ze wstępem i objaśnieniami Kazimierza Bartoszewicza. Kraków. Nakładem wydawnictwa Salonu malarzy polskich. Druk W. L. Anczyca i Sp., Kraków.

Od czasu, kiedy ś. p. biskup krakowski ks. Łętowski wydał „Katedrę na Wawelu“, wspani[illegible] dzieło chromo-litografowane, wyczerpane jednak zupełnie, brakowało odpowiedniego wydania. Mistrzowie pendzla: St. Tondos i W. Kossak podjęli się żmudnej pracy i stworzyli dzieło o barwnej i okazałej, a zarazem poważnej szacie. Objaśnienia historyczne, dołączone do każdej ryciny, są pióra zaszczytnie u nas znanego literata i historyka, K. Bartoszewicza.

Salon malarzy polskich podjął się tego wydawnictwa i dał nam piękne album, mogące być ozdobą każdego polskiego domu, a zarazem będące trwałą pamiątką jubileuszu grunwaldzkiego.

Album mieści prócz tekstu dwadzieścia kartonów w okazałej oryginalnej tece i kosztuje 6 kor., z przesyłką 6 kor. 45 hal.

Adres wydawnictwa: Kraków, Floryańska 37. Wydawnictwo Salonu malarzy polskich.

Fryderyk Mauzens.

PARYSKIE GADY.

16

— Proszę! — odparł Karol Turner ze zmęczonym już uśmiechem.

— *Well!* Zauważono przed chwilą, iż pan nie podniósł do góry kołnierza od angleza... Panuje zwyczaj, iż przy pojedynku na pistolety, zakrywa się kołnierzyk i gors koszuli, wszystko co mogłoby służyć za cel przeciwnikowi...

— Tak — odparł niedbale Australczyk — mam jednak na sobie krawat, który mi się podoba... Nie chciałem go też chować w chwili, gdy tyle aparatów na mnie zwrócono...

Przy tej odpowiedzi dało się zauważyć w tłumie osób zebranych poruszenie, które w sprawozdaniach z zebrań publicznych określa się jako „długotrwałe wrażenie“.

— *Très chic! Très chic!* — powtarzał baron de Lagunan, który stał w pierwszym rzędzie razem z Maksymem Duret.

Słyszeli to miliarder i Joe Smith. Jeden z obecnych opowiedział im pokrótce scenę ze strzałem.

— *Very well!* — zaczął znowu korespondent dziennika angielskiego. — Czy można wiedzieć przyczyny pańskiego pojedynku?

— Nie.

— Dobrze! dobrze! Nie nalegam... Nie chcę być impotens...

— Co?... impotens?...

No! no! Impo... impo...

— *Importun!*

— *Yes! Importun!*

— Niech pan mówi po angielsku.

— *Aoh! You are right!*

I rozmowa potoczyła się po angielsku ku wielkiemu niezadowoleniu tych ciekawych, którzy nie znali tego języka.

— Zna pan francuski język daleko lepiej ode mnie — rzekł korespondent.

— Spędziłem część swego dzieciństwa w Biarritz — odparł Panajon.

— Czytałem wczoraj wieczorem, że pochodzi pan z jednej z najstarszych rodzin angielskich...

— Tak, z najstarszych i najsławniejszych!

— Nazwisko jednak Turner nic mi nie mówi.

— Nie jest ono moje własne... Jako młodszy syn bez majątku, wziąłem się do przemysłu, pozostawiając swe tytuły i herby tym krewnym, którzy nie byli zmuszeni zakładać fabryk, by zdobyć środki do życia. Turner jest to przybrane nazwisko, które nie rażąc nikogo, może bardzo dobrze figurować na puszkach z produktami spożywczemi lub na rachunkach... Prawdziwe me nazwisko, którego nie chcę wymieniać, nie odpowiadałoby dla handlu... Chociaż jestem uważany tylko za króla czekoladowego, lecz w żyłach mych płynie kilka kropel prawdziwej krwi królewskiej.

W istocie rzeczy, przemysłowiec, którego nazwiska Panajon nadużywał obecnie, nigdy nie był namaszczany na króla czekoladowego i nie pochodził wcale z wybitniejszej rodziny. Panajon jednak od chwili, gdy się przyoblekł w jego skórę, chciał uchodzić za człowieka niezmiernie bogatego i ze sławnej rodziny. Była to słaba strona Panajona, który specyalne zadowolenie znajdował w mistyfikowaniu ludzi i ich olśniewaniu. Syn ubogiego sklepikarza z prowincyi, wychowany w bardzo skromnych warunkach, nie marzył o niczem innem, jak tylko o tytułach i milionach. Nie przeszkadzało mu to jednak porozumiewać się złodziejską gwarą z najgorszymi opryszkami, jak Tetard, lub też przebierać się w frak lokajski albo bluzę robotniczą, gdy wychodził na nocne wyprawy. Zasiliwszy swą kieszeń, wciskał się pomiędzy ludzi światowych, przybierając szumne nazwiska i ubierając się w najmodniejsze kostyumy.

Przy ostatnich słowach fałszywego Australczyka na twarzach obecnych, znających angielski język, dało się zauważyć nowe zdziwienie. Niewrażliwemi na to pozostali tylko obydwaj Amerykanie i Maksym Duret.

— Na tem jednak, drogi ziomku — dodał złodziej — proszę skończyć swój interwiew. Odchodzę. Nie mogę pozwolić, by świadkowie moi tak długo na mnie czekali...

I stanowczym ruchem dał poznać obecnym, iż chce być już sam i skierował się pośpiesznie do bocznego przejścia. Poszli za nim tylko Duret, Raul de Lagunan, Amerykanie i obydwaj jego świadkowie.

Gdy znaleźli się sami, filantrop wziął Australczyka pod ramię i usuwając się z nim na bok, rzekł do obecnych:

— Panowie mi wybaczą, lecz dzisiaj nie będę już widział pana Turnera, a mam z nim do pomówienia w ważnej sprawie nie cierpiącej zwłoki!

I zaczął rozmawiać z mniemanym królem czekoladowym.

— Dałbym dziesięć tysięcy dolarów, by ich słyszeć! — szepnął Julian Maixent do ucha Smithowi.

Nie spuszczał też swego bystrego i przenikliwego wzroku z postaci tych dwóch ludzi. Z twarzy ich jednak nie można było się domyśleć, o czem rozmawiają. Zwłaszcza twarz Maksyma Dureta nie wyrażała żadnego uczucia; Karol Turner miał zaś na ustach tylko lekki, przymuszony uśmiech, który świadczył o pewnem niezadowoleniu.

— Cóż to wszystko znaczy? — zapytał filantrop.

— To wszystko? Co takiego? — odrzekł Panajon.

— Przedewszystkiem te artykuły w dziennikach!

— No więc co?

— Czyś pan zwaryował, że ogłaszasz takie rzeczy?

— Ależ ja nic nie dawałem do ogłaszania!

— Dziennikarze wymyślili sławne pańskie pochodzenie, że pan przybył do Europy, by zakładać trust czekoladowy i że miał pan zamienić z Piotrem Cartelegue'iem ośm kul na dziesięć kroków?

— Tak, oni wymyślili — potwierdził Panajon. — Czy pan ma jeszcze jakie złudzenia co do prasy?

— A ta historya z krwią królewską, która płynie w pańskich żyłach? To także tylko dziennikarze opowiadali podobne bajki? A to popisywanie się z swą celnością?

— Lecz co tu jest w tem złego?

— Złego? Pan tego nie widzi? Ależ Paryż nie będzie się niczem więcej teraz zajmował, jak tylko panem!

— Właśnie tego chcę.

— I prawdziwy Karol Turner dowie się o tem, co tu się dzieje na jego konto!

— Ach! Jest więc prawdziwy?

— Tak... Na szczęście bawi on teraz w Rosyi i wyjeżdża na Syberyę... dokąd odgłosy z Paryża nie dochodzą...

— A więc czego się pan boi?

— Odgłosy z Paryża nie dochodzą tam, jeżeli nie są zbyt głośne... Lecz to, co pan tutaj wyprawia, rozejdzie się po całym świecie aż pod bieguny!... I nagle zjawi się tutaj Karol Turner, by dowiedzieć się, kto i w jakim celu przybrał sobie jego nazwisko?

— Tak, to prawda... Byłoby to niezwykle śmieszne...

— Śmieszne? Pan uważa to za śmieszne? A coby pan wtedy uczynił?

— Nurka, ma się rozumieć. I panu nic innego nie pozostawałoby do zrobienia.

Mimo całego panowania nad sobą i mimo, że czuł i wiedział, iż jest obserwowany, Maksym Duret nie mógł powstrzymać wyrazu zmieszania na swej twarzy. Zachował ten sam spokojny i lodowaty ton, zmienił za to temat.

— Otrzymałem pański raport o śledzeniu panny Dubois — rzekł. — Czy jest pan pewny ludzi, którzy to robią?

— Tak, o ile można być pewnym szpicli — odparł Panajon. — Zwróciłem się do jednego z najlepszych biur... Przychodził do mnie sam dyrektor biura... Jest to opryszek nieposledniej miary... Zdaje mi się, że dobrze płacąc, będziemy mogli być pewnymi... Ach! a propos! Wynosi to sto franków dziennie... zapłaciłem za tydzień naprzód... Winien więc mi jest pan siedmset franków.

— Pańska ajencya należy do dość kosztownych!

— Uważa pan, że to jest drogo?

Dla Panajona wszystko było taniem.

— Dosyć! — przerwał Duret. — Mniejsza z tem! Główną rzeczą jest, abyśmy mieli dobrych ajentów.

— Dyrektor zapewniał mnie, że wybrał najzręczniejszych ludzi. Jest ich dwóch, jeden ciągle na ulicy, by śledzić pannę Dubois, a drugi zamieszkał na strychu koło jej pokoiku... Pierwszy ciągle nad nią czuwa i tylko od czasu do czasu idzie do winiarza naprzeciwko, nie tracąc ani na chwilę z oka domu, gdzie znajduje się pralnia... Drugi mieszka na jednym z nią korytarzu i nie rusza się z niego, obserwując przez uchylone drzwi jej pokój. Żałuję tych obu ludzi, zwłaszcza tego ostatniego, który za jakie pięć franków dziennie, musi w ten sposób odbywać prawdziwie więzienną karę... Lepiejby zrobił, gdyby się wziął do kradzieży, zamiast trudnić się podobnemi rzeczami!

— Przejdźmy do czego innego — przerwał Duret. — Czy pan dawał już z nowego mieszkania bieliznę do prania?

— Nie wiem — odrzekł Panajon zdziwiony podobnem zapytaniem. — Euzebiusz tem się zajmuje...

— Euzebiusz?...

— Mój służący...

— Ach! tak!...

— Ale zaraz... Zdaje mi się... Tak, tak, rzeczywiście! Euzebiusz dawał koszule... Przypominam sobie, że pralnia znajduje się przy ulicy du Rocher...

— A czy już panu odniesiono te koszule?

— Nie. Przychodzili tylko po nie.

— Kto przychodził?

— Jakaś młoda praczka.

— Widział ją pan?

— Owszem.

— Jak wygląda?

— Jakto, jak wygląda?

— Brzydka, czy ładna? Młoda zupełnie, czy też starsza? Blondyna? brunetka?

— Aha! Zaraz sobie przypomnę... Tak... tak... Rzeczywiście, bardzo przystojna! Urocza brunetka!

— Na ile lat wygląda? Piętnaście? Dwadzieścia?

— Na więcej, niż piętnaście, a mniej niż dwadzieścia.

— Bardzo dobrze! Wie pan, co ma pan teraz czynić?

— Nie...

— Postara się pan, by ta mała przychodziła do pana jak najczęściej zabierać bieliznę i odnosić często... I tak się pan urządzi, by przyjmować ją samemu... Rozumie pan?...

— Rozumiem.

— I będzie pan eleganckim?

— O, tak!

— Dobrze, tylko zrozumiejmy się! — mówił dalej Maksym Duret. — Mówię, elegancki! nic więcej! Niech ona w dalszym ciągu pracuje skromnie w swej pralni, tylko w danej chwili niech będzie gotowa rzucić tę pralnię dla pana... Pojmuje pan

— Doskonale.

— Innemi słowy, niech pan się stara o nią, nie posuwając się jednak za daleko... Niech pan tylko upewni się, aby w chwili, gdy pan otworzy jej swe ramiona, ona w nie wpadła...

— W takim razie skończę na tem, że je jej otworzę.

— Tak... Lecz wtedy, kiedy ja panu powiem... Nie przedtem...

— Zgoda... Pan tylko kazał mi się postarzeć i przyprawić sobie bokobrody, z którémi mi bardzo niewygodnie... To także nie ułatwia mi zadania i zwycięstwa, jakiego się pan po mnie spodziewa...

— By podobać się kobietom, nie potrzeba być koniecznie młodym i pięknym...

— Zwłaszcza, jeżeli jest się hojnym...

— Będzie pan nim...

— Bardzo dobrze. Jesteśmy w zgodzie!

— Mogę liczyć na pana?

— Bez wątpienia.

— Doskonale! Jeszcze raz przepraszam panów, lecz wiadomo, że sprawy są sprawami.

Maksym Duret mówił teraz głośniej.

— Trust ten jest na dobrej drodze? — zapytał baron de Lagunan.

— Na bardzo dobrej — odpowiedział Panajon.

— Panie Turner — zwrócił się do niego Julian Maixent — pozwoli pan, że przedstawię panu jednego ze swych znajomych, który również jest wybitnym przemysłowcem... pan Joe Smith z Chicago...

— *Hallo! sir!* — odezwał się Amerykanin. — Zdaje mi się, że to pan trafia bez celowania w punkt nie większy od dolara? *Hallo!* Jest to niezwykła celność! Z przyjemnością wypiłbym z panem szampana!

— Z wielką przyjemnością — odrzekł Panajon. — Po pojedynku śniadanie... Był pan obecnym przy jednem, mam nadzieję, że pan zechce być i na drugiem?

— *Well!* Przyjmuję! Ale pod warunkiem, że obiad zje pan razem ze mną!

— Bardzo chętnie! Baronie — mówił dalej złodziej, zwracając się do Raula de Lagunan; — jedziemy teraz do Cosmopolitan Hotel. Należy pan do nas?

— Serdecznie dziękuję, drogi panie, lecz jest to niemożliwe! Jestem zbyt ściśle związany z Cartelegue'ami.

— A pan, mój drogi Maksymie?

Panajon patrzył na Maksyma Dureta.

— Również niemożliwe i z tych samych powodów — odparł filantrop.

Panajon wahał się przez chwilę. Zaprosił wszystkich z wyjątkiem Juliana Maixenta. Nie było to grzeczne. Amerykanin jednak miał wygląd gościa, który dlatego tylko znajduje się przy stole, by nie było fatalnej trzynastki.

Ach! — zdecydował się złodziej. — Nie upokarzajmy tego biedaka!

I dodał głośno:

— Panie Maixent, przynajmniej pana będziemy mieli z sobą.

— Dziękuję uprzejmie, lecz mam przyjaciela, który oczekuje już mnie ze śniadaniem...

— Trudna rada!... Zawiódł nas i doktór... Wypadła mu jakaś operacya... Będzie więc nas tylko czterech: pan de Beandriioowit, pan Garrigue, pan Smith i ja... *All right!* Zmieścimy się w jednym samochodzie.

— Nie mogę panom towarzyszyć do Cosmopolitan Hotel — odezwał się Raul de Lagunan. — Lecz może spotkalibyśmy się po śniadaniu u „Neurastenikćw“?

— Zgoda! — odparł Panajon.

Wszyscy skierowali się do wyjścia i znaleźli się na ulicy Parmentier, gdzie oczekiwały na nich pojazdy. Złodziej rozdawał uściśnienia dłoni, potem siadł z gośćmi do samochodu, w którym przy szoferze znajdował się w liberyi Tetard. Samochód zatrąbił i zaraz ruszył.

Na zakręcie przy ulicy Villiers samochód zwolnił biegu. Ciekawi, wychodzący z welodromu zatrzymali się, poznając bohatera dnia. Uniosły się w górę kapelusze i rozległo się kilka okrzyków. Panajon kłaniał się wszystkim z godnością. Nie posiadał się z radości.

— Co za dzień! — rozmyślał radośnie. — Sensacyjny pojedynek!... Interwiewy i fotografowanie... Tryumfalny powrót... Zapominam o najpiękniejszej rzeczy: strzał z pistoletu! To było jednak przygotowane!

(Ciąg dalszy nastąpi)

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Ułożył J. Menczak, Przemyśl.

Czwarta z pierwszą, wielka w Rosyi rzeka,
Czwarta z drugą, to złoczyńców czeka,
Trzecie, każdy dom w sobie zawiera,
Całość, żona króla bohatera,
Który, ubóstwiając ją bez miary
Zamykał oczy na jej przywary.

Łamigłówka.

Ułożył M. Czecz... Podłęże.

Z każdego z podanych wyrazów wyjąć po jednej literze i ułożyć z nich nowe przysłowie:

Pad, tor, sok, tło, kra, akt, pot, bór, Zan, ren, bój, kit, jad, gra, ton, Inn, cep, łeb, gil, ort, sak, maj.

Łamigłówka przekładana.

Ułożył W. L. Kraków.

W każdym rzędzie uporządkować w ten sposób litery, aby utworzyły po dwa wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy i ostatni rząd, czytany z góry na dół, utworzą, dwa nazwiska, będące obecnie na ustach wszystkich.

a	b	g	j	r	n	w
a	ć	m	m	r	y	z
d	g	g	ł	o	ó	u
c	d	i	i	n	o	z
c	l	ń	o	ó	p	w
a	a	f	ł	m	r	u
i	l	ł	n	ó	s	t
d	m	o	r	t	u	y

Znaczenie wyrazów: 1. Drzewo, krewny. 2. Miasto, owad. 3. Część ciała, roślina. 4. Część doby, imię męskie. 5. Zapach, obszar. 6. Instrument muzyczny, zwierzę. 7. Ryba, sprzęt domowy. 8. Choroba, podatek.

Arytmograf.

Ułożył W. L. Kraków.

Cyfry zastąpić literami. Pierwszy rząd czytany z góry na dół, utworzy nazwisko polskiego powieściopisarza.

1	9	2	10	11
2	3	5	6	7
3	5	1	9	4
4	5	3	2	8
5	3	6	7	6
6	3	5	10	11
7	1	3	5	11
8	5	3	6	5
9	3	2	4	5
10	11	5	3	6
11	7	3	11	5

Znaczenie wyrazów: 1. Miasteczko w Galicyi. 2. Jedna z Muz. 3. Duchowny. 4. Rzeka w Królestwie Polskiem. 5. Słynna śpiewaczka. 6. Rękodzielnik. 7. Dzieło sztuki 8. Rzeka w Poznańskiem 9. Imię żeńskie. 10. Inaczej zły duch. 11. Zjawisko przyrody.

Logogryf.

Ułożyła Natusia Szczep... Kraków.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić litery, które utworzą szereg wyrazów o podanem znaczeniu. Głoski, umieszczone w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół, utworzą w pierwszym szeregu nazwisko polskiej rzeki, w trzecim bohaterki, która znalazła śmierć w jej nurtach.

□ — □ — —
□ — □ — —
□ — □ — —
□ — □ — —
□ — □ — —

Znaczenie wyrazów: 1. Znane w Polsce wzgórze. 2. Rozkaz sultański. 3. Rodzaj wozu. 4. Przyrząd służący do przewożenia po wodzie. 5. Inaczej zakochany.

Szarada.

Ułożyła M. Sulima, Skawina.

Tu całość nie jest rozerwana,
Zato, gdy rzewna, serce nam rozrywa,
Gdy głos drga żalem, jękiem się odzywa,
W słowach przebija się dusza złamana,
W pierwszem znaczeniu.
Drugie to człek sławny
Wymową swoją. Czas odległy, dawny,
Gdy żył i słowo Boże głosił w świecie,
Lecz pamięć o nim żyje i w nas przecie!

REBUS.



Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Maryi Rodziewiczówny*: **Jaskółczym szlakiem.** Powieść. Wydanie drugie.







Właściciel i wydawca: Stanisław Lipiński. Za Redakcyę odpowiedzialny: Wacław Lipiński. Klisze z własnego zakładu Drukiem D. E. Friedleina w Krakowie.